Nr. 16. Poznan, dnia 20-go kwietnia 1913 Rok XVII.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . 2,12 pod opaską . . 3,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr 3097
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Bezsilność wojen w dziedzinie ekonomicznej.

W czasach jak obecne, w których bezprzykładne w historyi paroksyzmy zbrojeń wstrząsają ludzkością, kiedy uzbrojone po zęby narody cywilizowane coraz nowe i coraz większe ciężary militarne biorą na uginające się barki, by sprostać powszechnej na polu zbrojeń konkurencyi i o ile możności przelicytować najwyżej licytującego, ruch pacyfistyczny i jego ideał wieczystego pokoju w szczególnie utopijnem przedstawiają się świetle.

Zdawaćby się mogło — i to tembardziej, ile że po konferencyi pokojowej w Hadze ruch na polu zbrojeń właściwie na dobre się rozkołysał — że wszelka myśl o ograniczeniu zbrojeń nie jest niczem więcej jak nieziszczalnem marzerzem, iluzyą, której realizacya żadnych nie ma widoków powodzenia.

Tak zdawaćby się mogło, a jednak ścisłe i rzeczowe rozważania do wręcz przeciwnych wiodą rezultatów i wykazują, że mimo wszelkie teorye wojenne militarystów, które tylko na drodze zbrojeń upatrują możność i prawdopodobieństwo zapewnienia pokoju europejskiego, zbliżająca się epoka wieczystego pokoju na rozbrojeniu opierać się będzie.

Zwolennicy zbrojeń są zdania, iż rozkwit gospodarczy, a więc handel i przemysł danego narodu, jego bogactwo zależne są od politycznej potęgi państwa, ta znów od liczebnej i moralnej siły armii. Wierzą oni, że potęga polityczna, a zatem i ekonomiczna państwa rośnie z jego obszarem, że przeto podbój obcych terytoryj bogaci państwo, a co za tem idzie poszczególnych jego obywateli.

Zapatrywanie to tak powszechną cieszy się popularnością, tak zdaje się być słusznem i historycznie potwierdzonem, że uchodzi powszechnie za niewzruszony aksyomat, za prawdę bezwzględną.

A przecież jest ono z gruntu błędne i bezpodstawne o ile się odnosi do bogactwa, do gospodarczych stosunków danego kraju i jego obywateli.

Gruntowne i wszechstronne badania ekonomisty angielskiego Normana Angella, ogłoszone w znakomitej książce p. t. The great illusion (Wielka iluzya), wykazały, iż zapatrywania te, słuszne za czasów dawniejszych, dzisiaj nie wytrzymują krytyki.

Przyczyną tego głębokiego i zasadniczego przeszacowania wartości jest rozbudowanie systemu kredytowego przez działalność banków czyli słowem międzynarodowa wzajemna zależność poszczególnych państw i narodów w dziedzinie gospodarczej. To przeobrażenie zaś jest w przeważnej części dziełem ostatnich 40 lat.

W tych latach zmienił się świat do niepoznania i to tak dalece, że według słów Angella: Bismarck, ściągający z Francyi olbrzymią kontrybucyę wojenną — co, jak wykazuje, większą szkodę ekonomiczną przyniosło Niemcom niż Francyi — bliższy był metodom działania Atyli, który z żadnemi zależnościami ekonomicznemi liczyć się nie potrzebował, niż obecna generacya działaniom Bismarcka.

Wykazuje tedy Norman Angell z wprost fascynującą przenikliwością, iż handel i przemysł danego narodu nie zależy już od rozszerzenia granic jego państwa; że w naszych czasach potęga militarna w sprawach społecznych i ekonomicznych jest bez znaczenia, i że żadnego dodatniego wpływu na dobrobyt danego narodu nie wywiera; wykazuje, że jest niemożebnością zdobyć bogoctwo lub handel innego narodu drogą podboju militarnego; że nie podobna zbogacić się przez ujarzmienie konkurenta, słowem, że nawet wojna zwycięska w obecnych warunkach nie zdoła zrealizować materyalnych celów zwycięskiego narodu.

Gdyby np. dany zwycięzca zechciał skonfiskować majątek czy to publiczny czy prywatny podbitego narodu, natenczas powstałoby tak kolosalne przesilenie finansowe w świecie, że olbrzymi ten kataklizm zniszczyłby także zwycięzcę samego. Z tego powodu zwycięzca nie może inaczej jak uszanować własność pokonanego, a wtedy

oczywiście podbój militarny żadnych mu gospodarczych zysków przysporzyćby nie zdołał. W ten sposób bogactwo zdobytego kraju pozostaje w rękach kraj ten zamieszkującej ludności.

Podobnie ma się rzecz z handlem i przemysłem.

Tak n. p. kupcy szwajcarscy i belgijscy wypierają handel angielski z własnych Anglii kolonij. Norwegia posiada w stosunku do swej ludności znaczniejszą flotę handlową niż Anglia, nie mówiąc wcale o Niemczech. Belgijskie trzyprocentowe papiery państwowe są o 13 procent więcej warte niż niemieckie, mimo, że wartości niemieckie olbrzymia osłania armia. Norweska renta $3^1/_2$ procentowa wartuje 102, rosyjska tylko 81 procent. Pokazuje się przeto najwyraźniej, iż publiczność lokująca swe kapitały w papierach państwowych dawno poznała bezsilność wojska w dziedzinie ekonomicznej i większe bez porównania ma zaufanie do państw maleńkich, broniących swego bogactwa przez armie iście operetkowe, aniżeli do państw wielkich rozporządzających milionami bagnetów.

Niemożliwą oczywiście jest rzeczą w ramach krótkiego artykułu dziennikarskiego poruszone kwestye dostatecznie i przekonywująco oświetlić i uzasadnić. Sądzimy wszakże, że już wskazanie na te nowe poglądy, które się w tej tak ważnej i aktualnej sprawie uwydatniają, dostarczą czytelnikowi interesującego materyału do rozmyślań i pomogą mu wydobyć się z pod władztwa wyobrażeń przestarzałych i z rzeczywistością aktualnego położenia i z warunkami i stosunkami tegoczesnego gospodarstwa światowego niezgodnych.

Najwyższy bodaj czas, aby ludzkość, która na wszelkich polach tak olbrzymie poczyniła postępy, także w sferze poruszonych powyżej spraw i zagadnień przestała rządzić się poglądami słusznemi jeszcze może przed wiekiem, lecz zupełnie błędnemi w czasach obecnych.

Sądzić należy, że wojny ,a z niemi i zbrojenia ustaną z tą chwilą, gdy ludzkość pozna, iż militaryzm i podboje są i muszą być bez wpływu dodatniego na życie gospodarcze, słowem na dobrobyt narodów.

Oczywiście mowa tu o państwach i narodach cywilizowanych, europejskich.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o kraje dzikie lub półdzikie. Tam podbój może w danym razie być potrzebny. Ale nie na to, by kraj ten posiąść celem wyzysku — metoda ta zemściła się strasznie na Hiszpanii, jak to historya jej kolonij wykazuje, — lecz na to, by w nich zaprowadzić ład i porządek i uczynić go sposobnym dla życia handlowego i przemysłowego. Taką n. p. jest od lat 50 polityka kolonialna angielska, która zasadza się na tem, iż pozwala swym koloniom rządzić się tak, jak one same uznają za potrzebne, sama zaś zachowuje się wobec swoich kolonij jak wobec wszystkich innych państw zupełnie od siebie niezależnych.

Nader ciekawe są wywody Angella wykazujące, iż tego rodzaju cywilizacyjna działalność, potrzebna w interesie ludzkości i kultury, bez porównania lepiej opłaca się tym państwom, które z niej korzystają, niż tym, które przyjmują na siebie role cywilizatora. Te bowiem biorą na siebie znaczne ciężary wynikające z ich praw własności i administracyi danych krajów, podczas gdy tamte bez jakichkolwiek ofiar ze swej strony uczestniczą w handlu cywilizujących się krain i pomnażają rzeczywiście swe bogactwo.

W konsekwencyi głosi Angell, iż Anglia n. p., gdyby straciła wszystkie swoje kolonie, nie byłaby ani o grosz uboższą, owszem wyszłoby to na korzyść jej interesom materyalnym, jakkolwiek z moralnych i uczuciowych względów strata kolonij byłaby ciosem nader dotkliwym.

Wywody Angella, wyrwane z całości i podane w skrótach uniemożliwiających należyte uzasadnienie, sprawiają wrażenie niemal paradoksalne. Kto jednak wczyta się w książkę omawianą, przyzna, iż spotyka się z argumentacyą niezwykle przenikliwą i zrozumie, iż najpoważniejsza krytyka, najwybitniejsi politycy i mężowie stanu dziełem tem najżywiej się zainteresowali. Nie było wprost w ostatnich kilkudziesięciu latach książki, którąby podobnym poszczycić się mogła sukcesem. Wyszła ona dotychczas w milionowych nakładach w 14-tu językach, w tej liczbie w czterech językach indyjskich. Brak niestety przekładu polskiego, o co zresztą ze strony redakcyi naszego pisma stosowne poczyniono starania.

Z dobrych dobrzy się rodzą, wnuk przodków nie wydał.
Lecz do sławy dziedzicznej i swą własną przydał.

Jan Kochanowski.

* * *

Czytaniem odganiacie matkę wszystkich grzechów: próżnowanie; odganiacie ojca wszelkiego ubóstwa duchownego: lenistwo, które wam skarbów mądrości zbierać nie dopuści.

Piotr Skarga.

Wzmocnienie niemczyzny.

Komisya budżetowa sejmu pruskiego przyjęła projekt dotyczący wzmocnienia uciśnionej rzekomo niemczyzny w Księstwie i Prusach Królewskich, również przyjęła wniosek Viereckа i towarzyszy domagający się popierania kupiectwa i przemysłu niemieckiego w dzielnicach polskich, mianowicie w miastach nadgranicznych. Wniosek ten domaga się: energicznego osadzania chłopów niemieckich i robotników w okolicach wspomnianych miast; rozszerzenia kredytu realnego ponad granicę pewności pupilarnej; lepszego wykształcenia zawodowego, w kalkulacyi i książkowości odnośnych procederzystów; popierania osiedlania się ich we własnych domach i t. p.

Przy rozprawach nad wnioskiem rzeczonym rozwarły się także usta p. ministra rolnictwa barona Schorlemera, który zapewniał, iż Polacy przez zmianę swego zachowania się mogliby wpłynąć na zmianę polityki antypolskiej. Bez takiego zwrotu ze strony polskiej kursu antypolskiego zmienić nie podobna. Rząd bowiem nie może spokojnie przypatrywać się rozrostowi ruchu polskiego, który byłby jeszcze silniejszy niż obecnie, gdyby mu się rząd energicznie nie przeciwstawiał.

Widzimy więc, że rząd pragnie nie tylko dalej prowadzić dzieło opierścienienia miast polskich przez kolonizowanie chłopstwa niemieckiego celem ogłodzenia polskich kupców, przemysłowców, lekarzy, adwokatów i t. d., lecz w dodatku jeszcze osobne dla procederzystów niemieckich obmyśla ulgi i przywileje, co stanowi szczególniejszą ilustracyę sławnego w świecie „równouprawnienia" pruskiego.

Naturalnie, że nikt inny, tylko Polacy zmuszają Bogu ducha winny rząd pruski do tej „obrony najświętszych skarbów niemieckich."

Słuszna tedy, że Polacy podatkami przyczyniać się muszą do tej polityki, boć — jak zapewnia p. minister — od nich zależy, czy rząd ostrzejszą czy łagodniejszą politykę wobec nich stosować będzie.

Potrzebują się przecież tylko wyrzec wiary i narodowości, zapomnieć swej przeszłości i języka, właściwe sobie obyczaje rzucić pomiędzy stare rupiecie, zrzec się wszelkich „marzeń" o lepszej przyszłości — a na całym obszarze dzielnic polskich zakwitnie pokój i radość powszechna.

Zaiste, dziwni ci Polacy! Żąda się od nich tak mało, a obiecuje tak wiele, a oni jakby w ciemię bici nie widzą, gdzie ich zbawienie. Wolą, że ich skorpionami sieką, a mogliby zasiąść przy obficie zastawionym stole...

Lecz dosyć żartów!

Czy pan minister kpi sobie, czy pyta o drogę?

Czyż uważałby nas za tak dalece pozbawionych zdrowego sensu, iżby miał choćby na chwilę przypuszczać, że tego rodzaju apele zdołają jakiekolwiek w naszych szeregach wywołać zamieszanie?

Przed kilkunastu, a może jeszcze przed kilku laty można było w ten sposób podniecać drzemiące w każdej duszy polskiej instynkty pojednawcze i mobilizować je przeciwko t. zw. radykałom. Obecnie, kiedy rząd swą polityką gwałcicielską uderzył w najbardziej spokojnie i pojednawczo usposobione żywioły i zburzył jednym zamachem wszelkie ułudy i wszelkie iluzye — słowa p. ministra wywołują jedynie pogardę. Nie są one niczem innem jak brutalnem naigrawaniem się z bezbronnej ofiary, cynicznie wymierzonym policzkiem w twarz ciężko doświadczanego społeczeństwa.

Można ostatecznie zrozumieć, że minister wyrobiwszy sobie raz to niemądre przekonanie, iż Polacy już przez samo istnienie swoje tworzą dla niemczyzny i państwa poniewolne niebezpieczeństwo — rzekome niebezpieczeństwo to zwalcza wszystkiemi środkami. Ale pogardę wzbudzić musi bezcelowe znęcanie się i szyderstwo mieszczące się w słowach ministra.

Odezwa

Polskiego Centr. Komitetu Wyborczego.

Wobec mających się odbyć wyborów do sejmu pruskiego uchwalił niżej podpisany Komitet na mocy § 10 Statutu Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego, żeby prowincyonalne nasze władze wyborcze w następujących okręgach zamianowały Polaków kandydatami poselskimi. Kandydaci poselscy, przez nasze władze wyborcze zamianowani, mają jako posłowie obowiązek należenia do Koła polskiego.

A. Wielkie Księstwo Poznańskie.

1. Średzko-wrzesińsko-śremski (3 posłów).
2. Kościańsko-śmigielsko-grodziskonowotomyski (2 posłów).
3. Pleszewsko-jarocińsko-krotoszyńsko-koźmiński (2 posłów).
4. Odolanowsko-ostrowsko-ostrzeszowsko-kępiński (2 posłów).
5. Gnieźnieńsko-witkowski (1 posła).
6. Wągrowiecko-mogileńsko-żniński (2 posłów).
7. Wschowsko-leszczyńsko-rawickogostyński (3 posłów).
8. Wschodni i zachodni poznański i obornicki (2 posłów).
9. Babimojsko-międzyrzecki (2 posłów).
10. Międzychodzko-skwierzyńsko-szamotulski (2 posłów).
11. Inowrocławsko-strzelińsko-szubiński (2 posłów).
12. Bydgosko-wyrzyski (3 posłów).
13. Czarnkowsko-wieleńsko-chodzieski (2 posłów).
14. Poznań (1 posła).

B. W Prusach Zachodnich, Wschodnich i prowincyi Pomorskiej.

1. Gdańsk (trzy powiaty) (3 posłów).
2. Wejherowsko-pucko-kartuski (2 posłów).
3. Kościersko-starogardzko-tczewski (2 posłów).
4. Sztumsko-kwidzyński (2 posłów).
5. Susko-grudziądzki (2 posłów).
6. Lubawski (1 posła).
7. Brodnicki (1 posła).
8. Wąbrzesko-toruńsko-chełmiński (2 posłów).
9. Świecki (1 posła).
10. Tucholsko-chojnicko-człuchowski (2 posłów).
11. Złotowsko-wałecki (2 posłów).
12. Olsztyńsko-reszelski (2 posłów).
13. Lemborsko-bytowsko-słupski (3 posłów).

C. Śląsk.

1. Pszczyńsko-rybnicki (3 posłów).
2. Opolski (2 posłów).

Jak postąpić należy w reszcie okręgów Śląska, Prus Zachodnich i Wschodnich, oraz we wszystkich okręgach na obczyźnie, pozostawia się decyzyi odnośnych Komitetów Prowincyonalnych.

Poznań, dnia 9. kwietnia 1913.

Polski Centralny Komitet Wyborczy.

Ks. dr. Antoni Wolszlegier, prezes.

Stefan Cegielski, wiceprezes.

Ks. proboszcz Barczewski. Jan Brejski. Julian Brzeski. Władysław Grabski. Maksymilian Hanke. Dr. Hylla. Władysław Jerzykiewicz. Dr. Krysiewicz. Dr. Stefan Łaszewski. Ks. radca Mojzykiewicz. Karol Rose. Dr. Zygmunt Seyda. Stanisław Sikorski.

Praca i walka są tak koniecznym warunkiem bytu ludzkiego, że gdzie one ustają, tam śmierć przychodzi, lub wycieńczenie, które ją sprowadza.

* * *

Z naszych spraw.

Rezolucya Koła Sejmowego.

Prezes Komitetu Prowincyonalnego Wyborczego na W. Księstwo Poznańskie p. szambelan Stefan Cegielski odebrał następujące pismo:

Berlin, dnia 11 kwietnia 1913.

JWielmożny Pan Szambelan S. Cegielski
Prezes Komitetu Wyborczego
na W. Ks. Poznańskie
w Poznaniu.

Na ręce JWielmożnego Pana Prezesa pozwalamy sobie przesłać Komitetowi Prowincyonalnemu rezolucyę, uchwaloną przez Koło sejmowe dnia 9 kwietnia:

Rezolucya:

„Na mocy doświadczenia swego nie zaleca Koło organizacyom wyborczym, ażeby przy nadchodzących wyborach sejmowych poruczały kandydatom poselskim mandaty podwójne."

Z głębokim szacunkiem

J. Sas-Jaworski, wiceprezes.

Dr. Felicyan Niegolewski sekretarz.

* * *

Walne zebrania wyborcze

odbyły się w ubiegłą niedzielę w wielu miejscowościach w W. Ks. Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku.

W Poznaniu odbyły się w tym dniu walne zebrania wyborcze obwodowe: na sali Bazarowej w południe o godzinie 12 dla okręgu chwaliszewskiego i St. Rynku, dla Łazarza i Górczyna na Wzgórzu o godz. 12 w południe i także dla Jeżyc o godzinie 4 po południu na sali p. Dudka w Urbanowie.

Ponadto odbył się wiec agitacyjny w Głuszynie pod Poznaniem.

Na wszystkich zebraniach poznańskich wybrano kandydatami na posła pp. mecenasa Chrzanowskiego i St. Offierskiego, na delegatów pp. K. Rzepeckiego i dra Maryana Seydę, na zastępców pp. St. Offierskiego i Z. Lewandowskiego.

Na wiecu w Urbanowie poruszył p. Chmielewski stosunki szkolne w szkołach jeżyckich, do których uczęszcza z jakie 1000 dzieci polskich, a tylko 60 niemiecko-protestanckich, a nauczycieli katolickich jest tylko 10, a protestanckich 13. Wnosi przeto, aby radni polscy z Jeżyc sprawę tę poruszyli w magistracie, a zwłaszcza w deputacyi szkolnej, iżby zmiana stosunków nastąpiła. Przyjęto odnośną rezolucyę.

* * *

Ze sejmu pruskiego.

Poseł mec. p. Trąmpczyński wypowiedział świeżo w sejmie pruskim dwie znamienne mowy. W pierwszej podczas obrad nad szkołami elementarnemi napiętnował należycie skandaliczne stosunki, panujące w szkołach na „kre-

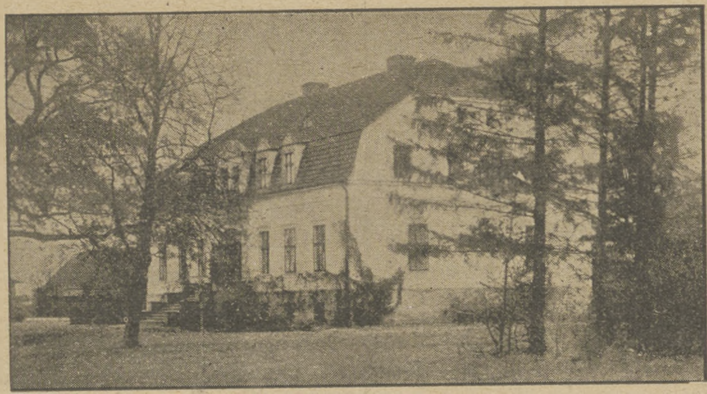
sach wschodnich", w drugiej podczas obrad nad memoryałem komisyi kolonizacyjnej oraz nad nową ustawą kolonizacyjną wyraził w komisyi bud-



Poseł Wojciech Trąmpczyński.

żetowej najwyższe oburzenie z powodu wniesienia ustawy i zapowiedział walną rozprawę w plenum. Komisya kolonizacyjne mówił poseł Trąmpczyński — pracuje od 20 lat bez celu tumaniąc jedynie rząd. Taksacyę majątków nazwał poseł Trąmpczyński rozbojem na publicznej drodze, ponieważ taksatorzy nie mają pojęcia ani o stronie prawnej ani też o stronie finansowej.

Właścicielkę zastępowali tak jak w pierwszych terminach pp. dr. A. Osowicki z Gozdanina, Czarliński ze Zakrzewka i mecenas Trąmpczyński z Poznania.



Fot. „Camera" Z. Śniegocki, Poznań.

Dwór pani Liszkowskiej w Lipienkach, które uległy wywłaszczeniu.

Komisya kolonizacyjna w Prusach Królewskich

coraz szersze zatacza kręgi. Świeżo przeszły w posiadanie jej dwa majątki, Żelenin w powiecie kościerskim obszaru 1600 morgów i 1200 morgowy majątek Młynki w powiecie złotowskim. Oba majątki znajdowały się w rękach niemieckich.

W powiecie kościerskim posiada komisya kolonizacyjna obecnie 7511 hektarów, czyli 6,07 procent całego obszaru, w powiecie złotowskim zaś 5489 hektarów czyli 3 procent ogólnego obszaru.

* * *



Pani Liszkowska przed dworem w Lipienkach, które uległy wywłaszczeniu.

Ostateczny termin odbioru Lipienek przez kolonizacyę odbył się w piątek, dnia 11-go bm. W dniu 9 i 10 kwietnia odbyło się spisywanie inwentury przez przysłanych w tym celu urzędników.

Socyaliści „polscy" w Niemczech.

Tak zwani „polscy" socyaliści na ziemiach polskich w Niemczech, mimo setek tysięcy marek, łożonych przez socyalistów niemieckich na agitacyę, jakoś nie mają powodzenia i liczba członków polskiej partyi socyalistycznej wcale się nie zwiększa.

Liczbę członków związku polskiej partyi socyalistycznej na rzeszę niemiecką ogłasza organ związkowy partyi, a z liczby tej w własnym swym interesie nic chyba nie ujął. Otóż związek liczy na Górnym Śląsku 1056, w Księstwie Poznańskiem tylko 50, w Westfalii 201, w Berlinie 120, w Bremenie 105, a w Hamburgu 30 członków zapisanych. I to już wszystko! Nie wiele więc ponad 1500 członków liczy polska partya socyalistyczna na rzeszę niemiecką, którą przecież zamieszkują cztery miliony Polaków.

Jest to cyfra śmiesznie mała i świadczy wymownie o przywiązaniu do Kościoła i uświadomieniu narodowem i społecznem polskiego ludu.

Na widowni.

Ostatni tydzień przyniósł wieści pokojowe.

Pomiędzy walczącemi stronami na Bałkanie nastąpił dwutygodniowy rozejm, wkrótce rozpoczną się ponowne obrady pokojowe w Londynie, aby ostatecznie stanął pokój.

Może jednym z najdonioślejszych był komunikat rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Sazonowa, a najważniejszym dlatego, że rzuca on cień na stosunki rządu rosyjskiego do Słowian w ogóle, a w szczególności do Słowian bałkańskich.

Komunikat rosyjski nie pozostał bez odpowiedzi ze strony czarnogórskiej, gdyż bezpośrednio dotyczył on króla czarnogórskiego, i to bez odpowiedzi bardzo dosadnej.

Wykazało się, że pomiędzy Rosyą rządową a Słowianami istnieje rozdźwięk, że Rosya urzędowa nie dba nawet o Słowian prawosławnych, gdy chodzi o te interesy, których urzędowa Ro-

sya od dawna broni i im się ślepo wysługuje.

W komunikacie minister rosyjski zarzucił królowi czarnogórskiemu, że nie prowadzi polityki swojego ludu, lecz swoją własną.

Był to bardzo ciężki zarzut, którego już nigdy Czarnogórcy rządowi rosyjskiemu nie zapomną.

A mają powód do tego.

Nie tylko bowiem, że ich Rosya opuściła na konferencyi ambasadorów w Londynie, godząc się na utworzenie Albanii, ale dlatego, że szkodziła ona wprost narodowi serbskiemu i czarnogórskiemu w opinii rosyjskiej, wytaczając już od dawna przeciw Serbom zarzut, że nie chcą uznać cara za sędziego w ewentualnym zatargu z Bułgarami o granice w Macedonii i zarzucając królowi Czarnogóry, że prowadzi politykę szkodliwą interesom swego ludu.

Jak bolesnym ciosem musiało już być dla Serbów, że Rosya nie poparła ich w dążeniach zdobycia nad Adryatykiem portu! Dalej zawodem dla nich było, iż zgodziła się na utworzenie silnego państwa Albańskiego.

Możnaby atoli te ustępstwa Rosyi wytłomaczyć sobie jej brakiem odwagi i sił do podjęcia wojny z Austryą.

Słowianie bałkańscy przekonali się, że Rosya nie może im przynieść żadnej pomocy i to już zapewne przyczyniło się do obniżenia powagi i znaczenia Rosyi w Słowiańszczyźnie południowej.

O ile wszakże większem rozczarowaniem było postąpienie ministra rosyjskiego, który wprost bez potrzeby rozpoczął kampanię przeciw Serbii i Czarnogórze, starając się jedną i drugą pozbawić sympatyj narodu rosyjskiego, które bezwątpienia Słowianie bałkańscy posiadają w mierze wysokiej.

Jakkolwiek chwilowo wszystko to, co się stało, przyniosło sprawie słowiańskiej na południu szkodę, nie może być przecież w interesie Słowian rzeczą niepożądaną fakt, iż dziś w sposób zupełnie widoczny wykazało się, iż w Rosyi są u steru rządy, wysługujące się interesom obcym, nie rosyjskim. Ten właśnie szczegół może przyczynić się do wyklarowania stosunków i do wydobycia na światło dzienne czynników, które Rosyą rządzą.

Chwilowo może zwyciężył wpływ obcy, niewiadoma atoli czy po tem zdemaskowaniu stosunki tam się nie zmienią.

W każdym razie obecnie rząd rosyjski może nie będzie miał do walczenia z rewolucyonistami i z nihilistami, lecz z prądem słowiańskiem, który w Rosyi ma zowlenników we wszystkich sferach społeczeństwa.

W pierwszych dniach bieżącego tygodnia zaszedł w mieście francuskiem Nancy wypadek bardzo nieprzyjemny dla dyplomacyi niemieckiej i francuskiej. Pobito tam kilku kupców niemieckich, zachowujących się rzekomo prowokująco wobec Francuzów.

Mimo to, że rząd niemiecki nie miał wiadomości dokładnych i bezstronnych o wypadku, polecił w tej sprawie wkroczyć swemu ambasadorowi, jakby chodziło o sprawę pierwszorzędnej wagi.

Również bardzo ważnym wypadkiem politycznym, mogącym mieć znaczenie szersze, jest strejk robotników belgijskich.

Strejk ten jest dlatego ważnym, ponieważ chodzi tu o wymuszenie na rządzie belgijskim sprawiedliwszego prawa wyborczego.

Robotnicy belgijscy postanowili urządzić strejk generalny, t. j. obejmujący wszystkie kategorye robotników.

Dotychczas mieliśmy strejk taki w Szwecyi, który, aczkolwiek skończył się dla robotników niepomyślnie, przecież dał odczuć społeczeństwu szwedzkiemu potęgę zorganizowanego stanu robotniczego. Gdyby strejk w Belgii powiódł się, przyczyniłby się bezwątpienia do ośmielenia robotników niemieckich, jego fiasko zaś, odbije się niekorzystnie na reformie w Prusach.

W pierwszych dniach strejk w Belgii nie wybuchł w takich rozmiarach, jak się spodziewano w obozie socyalistycznym, nawet częściowo można mówić o zawodzie. Wszakże jeden ze znawców stosunków belgijskich twierdzi, że z każdym dniem strejk rość będzie jak lawina, aż za sobą wszystkich robotników pociągnie.

Wieści o chorobie Ojca św. niepokoją od dłuższego czasu cały świat katolicki tym więcej, że są sprzeczne. Biuletyn



Ojciec św. Pius X.

wydany dnia 16-go b. m. brzmi: Papież spał w nocy kilka godzin spokojnie. Temperatura wynosiła rano 36'8. Wyrzucanie flegmy odbywa się z łatwością. Stan serca jest w dalszym ciągu dobry. Cały świat katolicki powita tę wiadomość z niekłamaną radością.

W stolicy Hiszpanii popełniono znowu zamach na życie młodego króla hiszpańskiego; na szczęście zamach nie powiódł się, monarcha uszedł cało.

Gdy dnia 11 bm. po południu po odbyciu przeglądu wojska jechał król do zamku, zastąpił mu w pobliżu banku hiszpańskiego drogę jakiś człowiek, który jedną ręką pochwycił konia za uzdę, gdy drugą wydobył rewolwer z kieszeni.

Król nie tracąc przytomności, spowodował konia do spięcia się i to w tej właśnie chwili, gdy napastnik wystrzelił. Tym sposobem stało się, że kula nie trafiła króla, lecz ugodziła w pierś końską.

Sprawca usiłował po raz drugi wypalić, gdy wtem rzucił się na niego urzędnik policyjny i powalił go na ziemię.

Mimo to nie zdołał policyant przeszkodzić temu, że sprawca wystrzelił jeszcze dwukrotnie do króla. Obie kule chybiły. Jednym wystrzałem opalona została rękawiczka króla na lewej ręce.

Sprawcą zamachu jest 26-letni rorodem z Barcelony, cieśla nazwiskiem Rafał Sambez Allegre. Przebywał on czas pewien we Francyi skąd go wydalono za agitacye anarchistyczne.

Tak więc tydzień bieżący obfituje w różne ważne wypadki.

Do nich zaliczają także zapowiedziany przyjazd cara, króla angielskiego i austryackiego następcy tronu do Berlina na ślub córki cesarza.

I to ma być być objawem pokoju. Wieniec myrtowy cesarzówny ma stać się symbolem pokoju w roku 1913!

Oby tylko tych nadziej pokojowych nie spotkał los za wcześnie rozkwitłych latoś drzew i kwiatów, mrozem kwietniowym zniszczonych.

Tak wielu występkom i wadom poddan jest żywot człowieczy, iż jeślibyśmy wiele rzeczy nie przebaczyli, a występków sobie zobopólnie nie odpuszczali, niedługoby to towarzystwo a złączenie ludzkie trwało.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Umiej być przyjacielem — znajdziesz przyjaciela.

* * *

Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko.

Pogadanka rolnicza.

Minęły dni piękne wiosenne i przyszedł mróz dnia 11-go kwietnia, ścinając wodę w stawach i rowach.

Mróz ten dotkliwie sprzeciwił się gospodarzom. Korzystając z czasu stosownego pozasiewano owsy i jęczmiona i tu i owdzie zasiano nawet buraki cukrowe, a teraz jest rozpacz ogólna, gdyż poczerniały już weszłe zasiewy i dużo będą potrzebowały czasu, aby rany odniesione zagoić i kto wie, jeżeli zbawcza saletra chilijska nie pomoże, wtedy w plonie będą braki. Czas przynosi zło, ale czas goi także, dlatego nie ma powodu jeszcze do pesymizmu zbytniego, gdyż ciepły i mokry maj może jeszcze wyrównać wszystko. Pozasadzano nawet niektóre pola kartofli, gdyż każdy się starał jak najwcześniej uporać z nawałem robót wiosennych. Ziemia natomiast nie była jeszcze dostatecznie rozgrzaną, a kartofel lubi ciepłą ziemię i grabieje w zimnej.

Również buraki cukrowe wymagają ciepłej ziemi i ciepłego powietrza. Jeżeli owies nie znosi mrozu, to burak wprost umiera podczas przymrozków i wymarzłe miejsca trzeba świeżo posiewać lub też niekiedy całe pole zaorać.

Radzić można sianie dość gęsto buraków cukrowych i jeżeli innemi latami 16—18 funt. na mórg wystarczyło, to tego roku należy siać przynajmniej 20 funt. Nasienie buraków cukrowych bowiem porosło zeszłego lata dla ciągłych deszczów w sierpniu już na pniu, a porosłe ziarno daje tylko małą rękojmię większej siły kiełkowania. Przy plantacyi buraków cukrowych może najważniejszą rzeczą jest częste ich odziabywanie. Przy odziabywaniu nie chodzi tak bardzo o wyczyszczenie ziemi z chwastów, lecz o wiele więcej o dopływ powietrza do korzeni buraka, który sprawia dziabka, łamiąca powierzchnię ziemi. Do niedawnego czasu wierzono tylko w teoryę Liebiga, który zalecał celem podniesienia plonu mierzwienie ziemi bądź mierzwą stajenną, bądź sztuczną z zawartością azotu, potasu, fosforu, wapna, natronu, żelaza, magnezyi i innych składników chemicznych. Dzisiaj nauka nie odstąpiła od teoryi Liebiga, natomiast pogłębiła ją o tyle, każąc dbać także o życie bakteryologiczne w ziemi, możliwe na szerszej skali tylko przy stałym przypływie powietrza. I najsilniejsze nawożenie ziemi nie skutkowały bez pracy bakteryologicznej i każda roślina umarłaby śmiercią głodową bez niej. Naturalnem jest, że pewna praca bakteryologiczna odbywa się w ziemi nawet w niekorzystnych warunkach, kto jednak chce mieć wielkie sprzęty, ten musi tę pracę powiększać i podniecać, a czyni to w najskuteczniejszy sposób, uprawiając racyonalnie ziemię, orząc i włócząc ją sucho i odziabując zasiew podczas wegetacyi.

Doniosłe znaczenie bakteryologiczne dla rolnictwa udowodnił przedewszystkiem słynny biolog francuski Pasteur, robiąc odpowiednie próby z roślinami i zwierzętami. Jako objekt eksperymentacyjny obrał sobie groch, sadząc go w sterylizowanej czyli w ziemi uwolnionej od bakteryi. Choć przy próbie nie brakło pokarmu chemicznego, roślina młoda żyła tylko tak długo, póki nie wyczerpała matki ziarnka, potem uschnęła i umarła, nie mogąc asymilować otaczającego ją pokarmu chemicznego.

Podobną próbę wykonał Pasteur z kurczęciem. Wziął kilka jajek, umył je w sublimacie z zachowaniem największej pedanteryi, aby wszelkie bakterye pozabijać, umieścił jajka w wylęgarni sztucznej, urządzonej także w ten sposób, aby żadne bakterye przystępu nie miały i pasł kurczęta po wylężeniu ziarnem sterylizowanem. Chociaż kurczęta jadły łakomo potrójne porcye i głodne ciągle jadły z apetytem jak największym, ciało ich nie przybierało na wadze i kurczę takie żyło najwyżej 30 dni. W przewodzie pokarmowym nie było bowiem bakteryj dostarczanych bądź razem z żywnością, bądź tam zagnieżdżonych od urodzenia. Już bowiem do jajka dostają się bakterye przez skorupę, która niesterylizowana nie stanowi dla małych bakteryj poważnej przeszkody.

Zrozumiałem jest, że gospodarze posługują się i pośrednio bakteryami, nietylko na drodze bezpośredniej ułatwiającej im warunki życiowe. Otóż w handlu ukazała się przed kilku latami tak zwana Nitragina, którą się szczepi ziemię lub ziarno przez polewanie cieczą napełnioną bakteryami, umożliwiającemi danej roślinie czerpanie azotu z powietrza. Dotąd używa się Nitraginy li tylko u roślin motylkowatych jak łubin, seradela, groch, koniczyna, wyka itd. Rośliny te posiadają właściwości ściągania azotu z powietrza, ściągają go jednak tylko na tej ziemi, w której się znajdują zarodki odpowiednich bakteryj. Zadaniem Nitraginy natomiast jest dostarczanie lub powiększanie zasobu ziemi w odnośne bakterye.

W ostatnich latach pracuje profesor Gerlach nad wyprodukowaniem bakteryj, któreby dla roślin kłosowych miały to samo znaczenie, co Nitragina dla roślin motylkowatych. Dotychczasowe wyniki tych badań są więcej lub mniej szczęśliwe. W przyszłości pewnie udoskonalenia pod tym względem sprawią prawdziwy przełom w rolnictwie, a przecież dobrą byłoby rzeczą ujarzmienie powietrznego azotu dla rolnictwa, ponieważ azot w saletrze chilijskiej wymaga ogromnych nakładów. Powietrze bowiem składa się z 79 proc. azotu i 21 proc. tlenu. Oprócz tego znajdują się w powietrzu różne związki chemiczne jak para wodna, dwutlenik węgla, amoniak i elementy chemiczne jak azon, argon, neon, chrypton, xenon, helium.

Ujarzmić azot powietrza dla rolnictwa, oto zadanie niedalekiej przyszłości.

Tadeusz Sobeski.

Amfiteatr pod Wawelem.

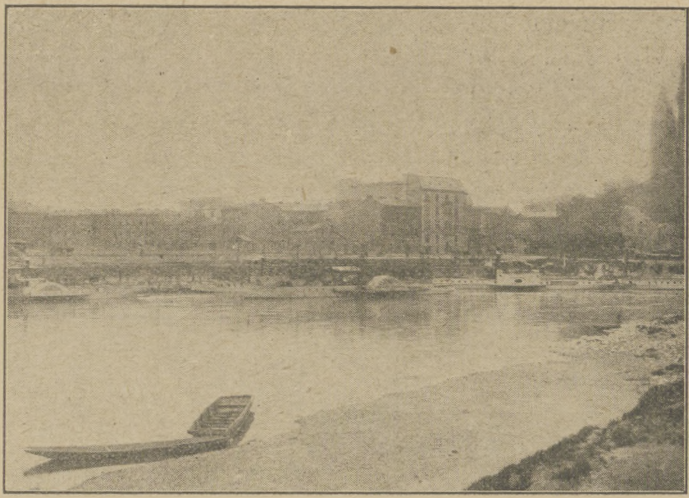
Ostatniemi czasy sfery artystyczne miasta Krakowa zainteresowały się niezwykle żywo sprawą amfiteatru u podnóża Wawelu nad Wisłą. Jak wiadomo, od kilku lat prowadzone są budowy nad Wisłą, kosztem rządu, mające na celu z jednej strony regulacyę rzeki, z drugiej ochronę miasta przed powodzią, która w ostatnich czasach nieustannie zagrażała miastu. Rząd zaprojektował roboty koło Wawelu zupełnie analogicznie jak i w innych częściach całej pracy, t. zn. miał stanąć jeden mur niższy, a w oddaleniu od tegoż, drugi wyższy, między temi murami miała zaś być przeprowadzona droga jezdna. Podobne wykonanie wpada już w oko między trzecim mostem a mostem podgórskim, ale takie wykonanie byłoby zupełnie popsuciem tak pięknego pejsażu, jaki przedstawia się u podnóża Wawelu. Przedewszystkiem wskutek odgrodzenia wałem Wisły od nadbrzeża, dostęp do niej byłby zamknięty, powtóre przez takie nadsypanie i nagłe podniesienie brzegów straciłby na uroku Wawel. Jednostajny mur na przestrzeni całego kolana Wisły pod Wawelem byłby zanadto monotonny, może zanadto odsłaniałby tę jedną, praktyczną zupełnie stronę swego istnienia, podczas gdy miejsce tak historyczne, a tak urocze i piękne, godne jest efektowniejszego projektu, gdzieby główną rolę odgrywała strona piękna,

artystyczna, któraby pokrywała stronę praktyczną. Już swego czasu Wyspiański podnosił myśl amfiteatralnego ujęcia brzegów Wisły pod Wawelem, ale wtedy była to raczej artystyczna fantazya, daleka od ziszczenia. Dzisiaj fantazya stać się może faktem zrealizowanym przy poparciu odpowiedniem we Wiedniu.

Inż. Kwiatkowski podniósł projekt, aby w miejsce muru oporowego, jaki znajduje się w projekcie rządu, zbudować amfiteatr w ten sposób, by ułożone amfiteatralnie ławy kamienne zastępowały mur oporowy. Według projektu jego, mur oporowy niższy podniosłoby się wyżej i ustawiło na szkarpie betonowej, dlatego, aby kamienne ławy amfiteatru chronione były od zalania. Nadto mur oporowy służyłby za fundament. Ławy szłyby od mostu na Dębnikach do szkarpy pod Wawelem i posiadałyby przerwy dla zejścia. Za ławami projektodawca proponuje mur, a po za nim skwery i plantacye, oraz drogę dojazdową. Projekt inż. Kwiatkowskiego jest zaledwie o 25 tys. kor. droższy od proponowanych na architektoniczne wykończenie rządowych robót koło Wawelu. Jednak należy zwrócić uwagę na fakt, że projekt ten oprócz tej zalety, że stwarza coś pięknego, artystycznego, a do pewnego stopnia nawet nawięzuje się z przeszłością przez otwarcie za pomocą amfiteatru dostępu do Wisły pod Wawelem, projekt ten góruje nad projektem rządowym. Przedewszystkiem już samo wprowadzenie zamiast muru betonowego ław kamiennych podnosi jego wartość i choćby dlatego, że bezwarunkowo wytrzymałość kamienia jest znacznie silniejsza od betonu, nadto siła wody w razie wylewu, któraby uderzyła w mur prostopadły, lub choćby lekkoskośny w tym drugim wypadku zostanie rozłożona na większą płaszczyznę amfiteatru i to nie pod kątem prostopadłym, lecz właśnie rozwartym, pomijając i ten moment, że przez amfiteatralne rozłożenie ław rozszerza się niejako koryto rzeki na tak drażliwym punkcie, jak zakręt bodaj czy nie pod kątem prostym, wobec czego siła odbicia nie będzie tak gwałtowna, wskutek czego i spadek wody będzie swobodniejszy i spokojniejszy. Projekt nie fantastyczny, całkiem realny, pełen polotu i cech pięknych może zamienić podnóże Wawelu w jedno z najpiękniejszych miejsc nietylko Krakowa, ale i całego nadwiślą.

A jednak i ten projekt ma przeciwników, bo „ to, co Wiedeń daje, przyjąć należy i temu sprzeciwić się nie można. Wszak mógłby nie dać nic". Argument za naiwny, ale wskazujący, jak daleko jeszcze sięga zniepramienie naszej godności i ambicyi, choćby nie sięgając do uczuć głębszych. Miejmy jednak nadzieję, że sprawa pójdzie dobrym torem, wobec tego, że zajęło się nią gorąco tow. techników, ostatnio tow. lekarskie, motywując względami sanitarnemi. Od decyzyi miasta zależeć będzie los projektu.

S. W.



Wisla pod Krakowem. Przestrzeń objęta projektowanym amfiteatrem.

Marya Cesky.

Obrazki z Bukowiny.

I.

Bukowina... pola jasną zielenią kukurydzy i złotem dojrzewających dyń strojne, chaty niskie, lasy sosnowe i ten lud płomienooki, zabobonny, aż do zbrodni, namiętny aż do utraty zmysłów.

W codziennem ich życiu, w obrzędach religijnych nawet zachowało się wiele zwyczai, sięgających w odległą, pogańską przeszłość. Zwyczai, które za jakiś czas cywilizacya zgłuszy.

Obecnie Bukowina wobec innych krain państwa austryackiego wyróżnia się nie pozbawioną uroku indywidualnością, ma w sobie coś pierwotnego.

Po jednostajności angielskiej ogrodów, miłą jest głąb lasów sosnowych, chociażby snuły się po nich ślady niedźwiedzich łap, a z cienia gałęzi płonęły szmaragdy przyczajonego do skoku żbika. Po jednostajności ludów cywilizowanych, z ciekawością uzasadnioną patrzy się na człowieka pierwotnego, zachowanego aż do naszej epoki w głębinie lasów sosnowych.

* * *

Gdy w chacie Rumuna śmierć zagości, gospodarz przez trzy dni z odkrytą chodzi głową. I gdy spotkasz wieśniaka w upalny dzień letni, jesienną szarugę lub zimową zawieruchę, z kapeluszem w ręku, z rozrzuconemi na wiatr włosami, wiedz, że u niego w chacie nieboszczyk leży.

Tę wielką panią, gaszącą ludzkie życie, wita rumuński wieśniak z cichą, poddańczą pokorą.

Tak samo barwnie jak chodził za życia, ubierają nieboszczyka do trumny, dają mu do grobu wszystkie barwne, jaskrawe, tanie błyskotki, które tak kochał za życia.

W czasie mego pobytu na Bukowinie widziałam dwóch nieboszczyków. Pierwszy wywarł na mnie wprost straszne wrażenie, bo nie wiedziałam, że Rumuni malują swoim zmarłym usta i policzki i ta sino-blada twarz z czerwonemi plamami na policzkach nie mogła mi się zatrzeć w pamięci. Drugiem było dziecko na wsi w okolicy Radowiec. Na stole zarzuconem białem płótnem, spało w barwnemi papierami wyklejonej trumieńce, zarzucone taniemi obrazkami i świeżemi kwiatami. Pomimo że i ono było malowane, nie robiło przykrego wrażenia, może dlatego, że twarz była dziecięca, a może ręka matki usiłując wrócić pozory życia, delikatniej rozprowadziła kolory.

Gdy wreszcie wyniosą sosnową trumienkę z cichej chaty, tworzy się dla niej pogański niemal orszak pogrzebowy:

Poprzedza orszak muzyka. Jej dzikie akordy jak i barwy jaskrawe zżyły się tak z istnieniem Rumuna, że towarzyszą mu w każdej ważniejszej chwili... do grobu nawet. Za muzyką niosą mężczyźni kosz napełniony tak zwanemi bułkami pogrzebowemi; zatknięte są w nim krzyże, najczęściej na metr wysokie, zrobione z fig nabitych na patyczki, środek zaś i zakończenie ramion tworzą cytryny. Im nieboszczyk zamożniejszym był za życia, tem większa ilość koszy z pieczywem i tych oryginalnych krzyży towarzyszy mu w ostatniej wędrówce. Dalej postępuje diak z krzyżem i ksiądz, a wreszcie na wozie lub ramionach sąsiadów, sunie się tru-

mna sosnowa, barwnemi papierami oklejona. Jeżeli zawiera kobietę, pokrywają ją cztery równej wielkości chustki związane na krzyż.

Na każdym punkcie, gdzie się dwie ulice zbiegają, milknie muzyka, zatrzymuje się orszak pogrzebowy i ksiądz odprawia modlitwy.

Fala życia gorąca bije od tych dwóch postaci...

Teraz od domu, gdzie chcą złożyć zaproszenie, dzieli ich jeszcze kilkadziesiąt kroków. Woźnica zmusza koniki do szybszego biegu, narzeczeni jednym skokiem znajdują się na ulicy i w takt dzikiej muzyki tańczą.



Typowy krajobraz bukowiński (Valeputna).

Na cmentarzu, po pobłogosławieniu trumny jedną z bułek pogrzebowych i i krzyż jeden kładą na wieku... to żywi po raz ostatni żegnają zmarłego chlebem i modlitwą.

A potem już mniej pięknie... sypie się czarną, żyzną ziemię na trumnę, nad świeżym grobem flaszka z wódką krąży, a białe chleby pogrzebowe tworzą zakąski.

* * *

Zaproszenie na obrzęd ślubny w okolicach Radowiec nosi również charakter dalekiej przeszłości.

Przez ulice wsi jedzie wóz drabiniasty, obficie wysłany słomą, na przodzie wozu zajmuje miejsce muzyka. Trąby, skrzypce, basy, czasem flet lub cymbałki łączą tony w prawdziwą orgię dysonansów. Za muzyką siedzi starosta, na końcu wozu z nogami zwieszonemi z drabinek i każdej chwili przygotowani do zeskoczenia jadą narzeczeni.

Jemu długie włosy w lśniących kędziorach opadają na ramiona, bogato haftowany kożuch, stosownie do pory roku noszony raz futrem, raz skórą na wierzch, ale nie odrzucany nawet w najbardziej upalny dzień letni; biała, wyszywana koszula, pas barwny, okrągły, czarny, sztucznemi kwiatami przybrany kapelusz dopełniaja stroju.

Ona... Dwa barwne, wełniane fartuchy obciskają kształty, sznury sztucznych korali spadaja na biała koszulę, połyskuje haftami kożuszek. Ciasno zaplecione warkocze otaczają głowę, zmysłowe usta, czarne oczy.

Dziewczyna drobi, rękę jedną na biodrze oparła, drugą zarzuciła nad głowę: od czasu do czasu z przepełnionej uciechą piersi wypada cieńki, wysoki krzyk:

— Hej! ha!

Chłopak kapelusz z czoła zsunął, w boki się ujął, wyprzedza tancerkę, zda się uciekać przed nią, to gonić ją. Na jej wysoki okrzyk, pełnią głosu odpowiada jego pierś, radosnem, szalonem: Hej! ha!

Taniec ten przypomina tokowanie cietrzewi. Może skrzydlaty kochanek, w blado-różowe słoneczne rozświty, wabiący ukochaną, by wykonać przed nią swój dziwny taniec, był pierwowzorem jakiemu rozkochanemu Rumunowi doby dawniejszej.

W tańcu dobiegają do drzwi domu, gospodarz z rodziną już w progu czeka. Zaproszenie z wozu wypowiada starosta, a z głębi słomy wychyla się pękata butelka wódki i świeży placek kukurydziany, u zamożniejszych kołacz i obchodzi kolejkę.

I znów muzyka gra, konie ruszają, narzeczeni wskakują na wóz, by za chwilę ponowić taniec i zaproszenie.

* * *

Te same wrzaskliwe tony muzyki zapowiadają już z daleka zbliżanie się ślubnego orszaku.

Muzyka wyprzedza szereg wozów jadących bardzo wolno (wesele, które opisuję, wyprawiał zamożny włościanin z okolicy Radowiec swojej jedynaczce). Panna młoda i drużbowie jechali dorożką, reszta weselnego towarzystwa chłopskiemi wózkami. Drużbowie mieli na sobie malowniczy strój chłopski, panna młoda, zajmująca honorowe miejsce na ich kolanach, paradowała w czerwonej atłasowej sukni, miejskim krojem uszytej.

Z dumą wychylała się jej opalona twarzyczka z bieli welonu, mirtowa korona tworzyła coś w rodzaju kokosznika, wogóle nie żałowano mirtu jedynaczce, nawet w uszach miała zatknięte gałązki mirtowe.

Biedna mołodyca... przed paru dniami, tak swobodnie gięła się jej postać w narodowym tańcu, w narodowym stroju... dzisiaj wtłoczona w gorset pobladła... Ręce trzyma daleko od siebie, sztywna jak manekin, przejęta obawa, by kosztownej sukni nie zmiąć. Jedyne swojskie w tej oblubienicy, to ten duży bukiet, raczej wiecheć georginij, które zapewne wyrosły w ogródku przed chatą, a które teraz z sztywną ostentacyą trzyma przed sobą.

W tyle powozu kiwa się poważnie biała chustka na barwnym patyku, przedstawiająca symbolicznie... czystość oblubienicy. Chustkę tę po odbytej ceremonii ślubnej starosta zdejmuje z drzewca i chowa.

Następne wozy przepełnione weselnymi gośćmi, barwne chustki kobiet mienią się jak kwiaty w gorącym, słonecznym blasku. Na białych koszulach i kożuchach mężczyzn połyskują hafty, na czarnych kapeluszach piórka srebrzyste i sztuczne kwiatki.

Ale oto i kościół.

Cicha cerkiew wpół ciemna, jaskrawo malowana, z nawą podzieloną kaplicowo, z złocistemi carskiemi wrotami w głębi.

Orszak weselny w pobliżu drzwi wchodowych czeka. Po ciemnej twarzy pana młodego przebiega wyraz niepokoju i wzruszenia. Może ta bogata jedynaczka w atłasowej sukni nie była w sercu jego jedyną... Może gdzie na wsi została para czarnych zapłakanych oczu... i w decydującej chwili poczucie wyrządzonej krzywdy zakołatało do duszy oblubieńca. Z jakiemi lękami ogląda się po kościele, silne ręce mną kresy kapelusza. Jakoś nie swojsko temu synowi wolnych przestrzeni w mrokach kościoła.

Panna młoda zachowała sztywność, pożółkłe ręce matki poprawiają starannie fałdy jedwabne a ze starej twarzy wygląda duma niezmierna... może z tej sukni, którą jedynaczce sprawiła.

O gdybyście wy wiedzieli, jak wam pieknie w strojach narodowych, nie rzucalibyście ich dla miejskich sukien i starych uniformów.

Kościelny przed carskiemi wrotami

ustawił klęcznik i zapalił dwie grube świece woskowe.

Ksiądz wyszedł w bogatej złocistej kapie, z długą starannie utrzymaną brodą i rozpoczęła się ceremonia ślubna, długa bardzo i dziwnie inna, od naszej... prostej a pięknej.



Wieśniak rumuński.

Pop odprawia modlitwy, na czole państwa młodych kładzie dwa wianki, które potem zamienia, kolejno piersi, czoła i ramion dotyka obrączką zanim je włoży oblubieńcom.

Wreszcie państwo młodzi klękają, czoła ich dotykają podłogi, a ksiądz nakrywa ich barwną chustą, prawdopodobnie na znak wspólności małżeńskiej. Modli się długo i wreszcie uwalnia państwa młodych od przykrycia. Złączeni



Wieśniaczka rumuńska.

na dole i niedole... częściej na niedole.

Teraz ksiądz z ewangelią w ręku podaje koniec kapy pannie młodej, krój jej sukni ujmuje pan młody, jego kożucha trzyma się ojciec, ojca matka a matki kościelny z grubą świecą woskową. W ten sposób utworzony korowód trzy razy obchodzi klęcznik. I w tej chwili każdy uczestnik ślubu i gość weselny czuje się w obowiązku osłodzenia państwu młodym życia garścią cukierków.

I sypią się cukierki jak grad, na księdza, na państwo młodych. Naturalnie dzieci rzucają się orszakowi pod nogi tocząc nieraz formalne walki o te słodkie dary.

Obrzęd ślubny skończony.

W przysionku kościoła stoi starosta z flaszką wódki i tacą pieczywa, częstując wychodzących „na zdrowie i szczęśliwe pożycie młodej pary".

Muzyka zajmuje teraz miejsce na wozie, panna młoda obok męża, małe górskie koniki wysilają się na krótki galop... turkoczą wozy, gra muzyka.

Dalszą część wesela odbywa się zazwyczaj w karczmie a dzikie instynkta tego uczciwego ludu zamieniają je nieraz w prawdziwe orgie i noże bywają nawet w robocie.

Jak się obywatel rumuński rodzi i w jaki sposób zostaje członkiem kościoła nie mogłam zaobserwować. Wiem tylko, że jest obowiązkiem towarzyskiej grzeczności ze strony krewnych i znajomych przesłać chorej kurę gotowaną z makaronem. I gdy córce mojej gospodyni urodziła się dziecina, ni mniej ni więcej, tylko 18 kur z makaronem przesłali jej w tym dniu znajomi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

✝

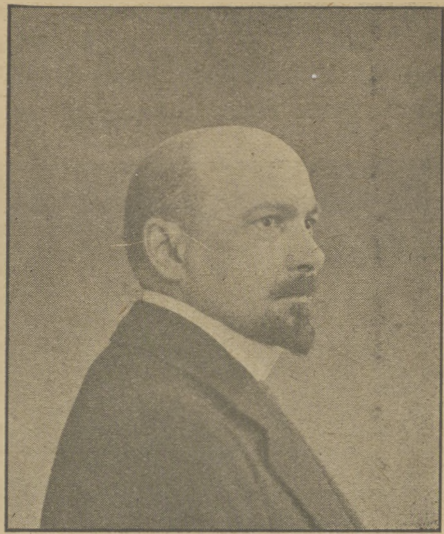
Z żałobnej karty.

Ś. p. Jan Mycielski.

Z ziemi włoskiej, — z stolicy Toskanii — Florencyi — la Bella — krainy wieczystego odrodzenia aż ku Jasnej Górze Gostynia, ku kościołowi Ponieca, biją dzwony żałobne, zwiastujące zgon jego patrona, a ziemi naszej stratę przedwczesną, niezwykłego jej syna. Zaiste, ciężka, wielka łza ogółu pada na kir żałobnego całunu okrywającego trumnę ś. p. Jana Mycielskiego, „miłego Bogu i ludziom, którego pamiątka będzie w błogosławieństwie. Potomek wielkiego rodu przepięknej w dziejach Rzeczypospolitej karty, przemożny ofiarami krwi na polach Ostrołęki, Grochowa, Rejgrodu, wchłonął on zda się słowa poety:

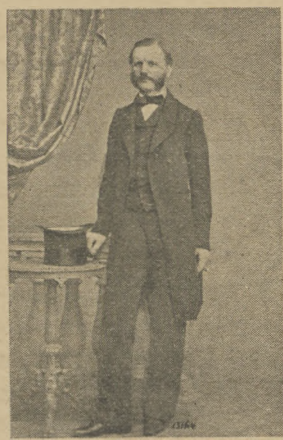
A może łatwiej życie oddać w szale
Niż zapomniawszy o swej własnej chwale
Żyć dla ojczyzny skromnie a wytrwale'

Księga jego życia na tle ołowianych chmur naszego bytu narodowego, to jedna pieśń poświęcenia dla kraju i rodziny, to zrozumienie jędrne i wytrwałe, że kiedy surmy wojenne ucichły, walki orężne ustały, kiedy nie grzmią już ar-



Ś. p. Jan Mycielski, syn.

maty, ni kule lecą, ni kartacze świszczą jako ongi w bohaterskie jego przodków piersi, to ich oznaką, miast wstęg i orderów winno być wielkie, gorejące, polskie serce! Jakżeby ono inne z tego



Ś. p. Stanisław Mycielski, ojciec.

szczepu wzrosło? — Rodzice polscy, na wskroś przesiąkli tragedyą dziejową, rozmachem wielkich gorących dusz, z kulturą i kultem dla wszystkiego co pol-



Ś. p. Marya z TurnówMycielska, matka.

skie, rodzime, święte! A gdy ojciec ś. p. Stanisława odumarł dziatwę, nieodżałowana naszych ziem matrona ś. p. Marya iście zakrólowała cnotami matki — Polki w ponieckim owym dworze

Wolny on od korupcyi zbytków, od hołdowania błędom służalczej polityki, czysto polski woniał ten dom atmosferą rodzimą, przy niezwykłej znajomości dziejów ojczystych pani swej i matki ukochanej. Ś. p. Jan, syn jej nieodrodny, do plejady swoich przodków dorzucił ogrom pracy ziemianina, w umi-



Fot. L. Durczykiewicz, Czempiń.

Dwór w Wydawach, majętności ś. p. Jana Mycielskiego.

łowaniu i szerokiem zrozumieniu wszystkiego co nas z ziemią wiąże i zobowiązuje. Promieniał iście owocami swoich zabiegów, w kółkach, w wystawach rolniczych jako niestrudzony pracownik w każdej pracy obywatelskiej. A na tym twardym ugorze codziennych obowiązków rósł kwiat — promień świetlany wybrańca sztuki: talent malarski. Dusza ś. p. Jana w zrozumieniu piękna przyrody wyczuwała chwile wielkiej, wzniosłej ciszy i wytchnienia — sam na sam z Stwórcą , którego dzieła oddawał, kopiował, wypieszczał tak świetlanie i pięknie. Zwykł był jeździć do Włoch, z których pisywał do rodziny, wracał z podziałem błogich wrażeń, z zasobem postępu w sztuce umiłowanej. Prysł czar powrotu, gdy tym razem już go witać nie miała w spólnej tęsknocie ukochana matka... i z słońca italskiego wprost nawrócił ku niej... miast w naszej szarej ziemi jarzmo... Idą za nim żale najogólniejsze, uznanie najgorętsze!

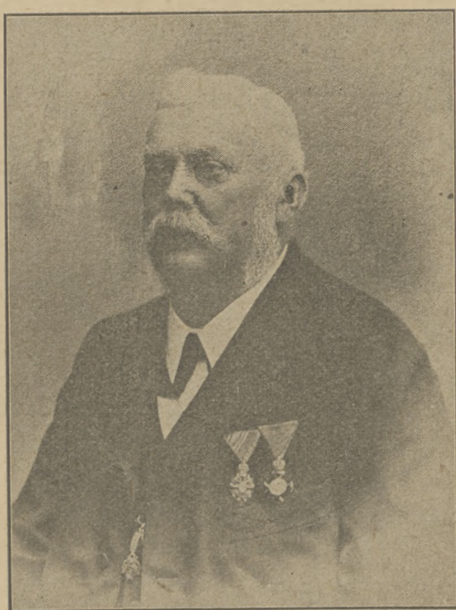
Przerzedzają się straszliwie szeregi bojowników na szańcach naszych obronnych — gdzie który wybije się, odznaczy w rozumieniu obowiązków syna Kościoła i ojczyzny, wnet wola niezbadana zwołuje go przedwcześnie z posterunku do wieczności. Ciosy te, straty mnożą się, przerażająco szybko i niespodzianie. A któż je nam powetuje? Gdzież załoga ratunkowa na zdziesiątkowane nasze placówki? Przebóg młodzieży polska! Strop sklepienia ojczyzny rysuje się groźnie — ohydna poczwara wywłaszczenia pożądliwie pod nią pełza. Lament i skargę zaklnij w czyn, mnóż się filarami ratunku!

P.

* * *

Ś. p. Jerzy Cienciała.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Cieszynie Jerzy Cienciała, jeden z najstarszych pracowników na Śląsku Cieszyńskim. Urodzony w r. 1834 swą pracą obejmował spory okres czasu, pracował jeszcze z pierwszymi działaczami narodowymi, Stalmachem Świeżym i t. d. Był chłopem-rolnikiem w całem tego słowa



Ś. p. Jerzy Cienciała.

znaczeniu. Postać wyniosła, w ruchach poważna, zawsze zamyślona, bez zapału, tylko z ócz głęboko pod brwiami osadzonych szła jakaś siła, jakaś niezłomna moc. Cienciała nieznał klęsk, nieznał upadków, nie wiedział co to znaczy cofać się. Cienciała był starej daty działaczem narodowym, a jednak dzięki swemu rozsądkowi potrafił iść równo w parze z ruchem narodowym i zawsze mu przodować. Jakkolwiek posiadał wykształcenie chłopem pozostał, co więcej szczycił się z tego, a wśród ludu posiadał mir jak nikt inny. W imię swego hasła: gromada, to wielki człowiek... założył on jeszcze w 1868 r. polskie tow. rolnicze, którego prawie do końca życia był prezesem, a które skupiło większą część włościaństwa w swem gronie i stało dzielnie na straży interesów ludu polskiego na Śląsku.

Cienciała to iście typ polskiego chłopa z czasów piastowskich, i słusznie do niego zastosowałbym słowa Wyspiańskiego:

A bo chłop i ma coś z Piasta,
coś z tych królów Piastów — wiele!
Kiedy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie;
godność, rozwaga, pojęcie.
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta.

Potęgą był Cienciała na Śląsku. Bali się go Niemcy, a gdy mówił w sejmie to słuchano z uwagą, respekt miano przed nim, choć politykiem nie był. Przezwano go nawet królem polskim, bo choć praw narodowych inni goręcej i zajadliwiej bronili, jednak Niemcy czuli, że w tym chłopie tkwi potęga i on potrafiłby wszystkich porwać za sobą. A swoi znali go dobrze z pracy tyluletniej, choć o znajomości ni o popularność nie zabiegał. Nie bawił się w demagogię, nie grał na instynktach tłumów, to nie typ zmanierowanego ludowca galicyjskiego, którego wielkość w krzykactwie leży. Cienciała o poklask nie dbał, do celu szedł drogą prostą, a twardą, rzucając swym rodakom w oczy ich chwiejność, ich ospałość, przyświecały mu w pracy te idee, jakie w owym czasie właśnie wzniecił na Śląsku Stalmach, wybitny duch Cienciały poznał od razu wielką prawdę dziejową, drzemiący duch potomka piastowskiego odnalazł ideały swego protoplasty i został Polakiem. Został, czem był do końca życia, mimo burze, jakie przechodziły nad Śląskiem, mimo liczne zdrady wycofania się z obozu narodowego, czyto z bojaźni, czy głupoty, czy dla karyery. I dla Ciencialy uśmiechało się wiele, gdyby przeszedł do obozu niemieckiego mógłby daleko zajść... niechciał, wolał pozostać czem był... Chłopem polskim, a za to pamięć po nim pozostanie poprzez pokolenia, a wyniosła jego postać będzie świecić na długo, aby w chwilach najgroźniejszych dla sprawy polskiej na Śląsku dać świadectwo, że lud tego

kraju jest polskim, skoro tak wybitne z pośród siebie wydaje postacie.

Z TEATRU.

„Biedna dziewczyna", wodewil Weinbergera z muzyką Kuhna.

Kto się chce uśmiać do rozpuku, niechaj podąży na przedstawienie „Biednej dziewczyny". Niewybredna to strawa tak pod względem tekstu jak pod względem muzyki, lecz i gospodarska potrawa, byle dobrze podana, schlebia podniebieniu. A dobrze podana była ta rzecz pełna niefrasobliwego humoru. Dawano ją u nas przed laty, podobnie jak Mamzelle Nitouche, obciętą w znacznej mierze. Obecnie nie uroniono ani jednego kupletu, wpleciono nawet piosnkę dodatkową, prześlicznego marsza w obrazie trzecim — jeżeli się nie mylę. Szkoda tylko, że skromne środki wokalne p. Bolesławskiej w tym dodatku zawiodły. Natomiast w roli samej — o ile uwzględnimy aktorską stronę produkcyi p. Bolesławskiej — artystka pełne miała powodzenie. Pod względem wokalnym co prawda trzebaby i tu poczynić niejakie zastrzeżenia.

Rolę biednej dziewczyny objęła p. Janikowska i była bez zarzutu tak długo, póki operowała prozą. Na szczęście śpiewna część tej roli jest bardzo maleńka... Znakomicie obsadzone były role męskie. Palma pierwszeństwa należy się niewątpliwie p. Kratochwilowi, który w roli pełnego werwy i temperamentu Munkiego był zupełnie w swoim żywiole. Groteskowego członka równie groteskowego, a raczej karykaturalnego klubu kawalerskiego przedstawił p. Fotygo z właściwym sobie talentem. Również p. Kosiński jako dziadek wywoływał salwy wesołości, szczególnie w piosnce o Małgorzacie. Numer ten szczególniejsze wywołał w widowni zadowolenie. Oklaskom nie było końca. Podobny sukces miał występ wspomnianego wyżej klubu kawalerskiego, którego członkowie wybornie byli ucharakteryzowani. Więcej seryalna rola Teodora u p. Kopczyńskiego w odpowiednich była rękach. Na miejscu był także p. Rembowski jako podtatusiały donżuan. Reszta ról obsadzona była bardzo szczęśliwie.

Nader efektowny był balet odtańczony przez p. Bańkowskiego i p. Muszyńską, która ratując sytuacyę zastąpiła dzielnie niedomagającą wskutek wypadku na próbie p. Bańkowską.

Również o reżyseryi p. Malawskiego jak o dyrygencie p. Eichstaecie tylko z najwyższem wspomnieć trzeba uznaniem.

Publiczność zgromadziła się bardzo licznie i bawiła się wybornie. Spodziewać się należy, że sympatyczna ta i wesoła, a przytem wolna od jakichkolwiek drastyczności sztuka, jeszcze cały szereg wieczorów wypełni. W tych smutnych czasach, bodaj tylko w teatrze jeszcze uśmiać się można. Więc korzystajmy ze sposobności.

R.



Fot. J. Stolski w Poznaniu.
Böhlke. Janikowska. Górska. Kindler Morozowiczówna.
Scena z aktu I-go trzyaktowej sztuki „Kabotyni",
odegranej na scenie uaszej z powodzeniem dnia 8-go kwietnia r. b. na benefis panny Mary Morozowiczówny, która jest autorką wzmiankowanej sztuki.
(Patrz „Z teatru" w zeszłym zeszycie „Pracy" na stronie 462.)

Nasze ryciny.

„Damascenka."

„Gdzież się podział ów wiek złoty, owe dawne czasy, Wtenczas kiedy panowały żupany i pasy i t. d."

Słowa powyższe z jednej z naszych aryj przychodzą nam na myśl, gdy spoglądamy na zamieszczoną na dzisiejszej karcie albumowej piękną reprodukcyę obrazu utalentowanego naszego malarza Zygmunta Ajdukiewicza p. t. „Damascenka".

Szabla damasceńska, którą ogląda młodszy brat szlachcić wobec starszego, przyda się na karki wrogów Tatarów, Turków lub Szwedów.

Nazwa szabli pochodzi od miasta Damaszku w Azyi, w którem wyrabiano broń taką. Cienkie pręty stalowe i żelazne razem rozgrzane i wykute dają stal, która po wygładzeniu i wybejcowaniu w kwasie, okazuje piękny słój w kształcie powikłanych żyłek. Z takiej stali wyrabiano w wzmiankowanem mieście azyatyckiem lufy do strzelb i klingi do pałaszów .t zw. damascenki albo demeszki, które słynęły z nadzwyczajnej dobroci. „Demeszkować" znaczyło w języku płatnerzy polskich kwiecić żelazo na wzór damasceński.

KRONIKA.

— **Ślub.** Dnia 10 bm. w Krakowie połączył się węzłem małżeńskim p. Adam Napieralski z Bytomia z panną Teresą Kowalikówną, córką pani Józefy z Smorowskich i ś. p. Franciszka Kowalików z Gąsawy.

Błogosławieństwa kościelnego udzielił w swej kaplicy pałacowej książę-biskup Sapieha z asystencyą ks. kanonika Wessolińskiego ze Lwowa, ks. profesora dra Zimmermanna, ks. redaktora Kądzioły z Krakowa i nadwornego duchowieństwa. Następnie odprawił książę biskup mszę św., podczas której nowożeńcy przystąpili do komunii św. Wśród obecnych zauważono także księdza arcybiskupa Teodorowicza. Uczta weselna odbyła się w hotelu Francuskim.

— **Od dyrekcyi „Westy" Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu** odbieramy pismo następujące:

Na dniu 5-go kwietnia b. r. odbyło się posiedzenie Rady nadzorczej „Westy," na którem przedłożony został bilans i rachunek zysków i strat za rok 1912. Stwierdzono, że wynik pracy zeszłorocznej był najzupełniej zadowalniający i przyczynił się w niemałej mierze tak do przyrostu stanu zabezpieczeń jak i do dalszego wzmocnienia finansowego instytucyi.

Ogólny stan zabezpieczeń podniósł się w końcu roku 1912 na 7913 polis z sumą zabezpieczoną mrk. 20 182 299.

Czysty zysk roku 1912 wynosi po odłożeniu prawem i statutem przepisanych rezerw i dokonaniu potrzebnych odpisów

mrk. 81 038,74

która to przewyżka pozwala Radzie nadzorczej i dyrekcyi proponować Walnemu zebraniu udzielenie członkom zabezpieczonym

18 procent dywidendy

od pełnej premii rocznej.

Certyfikataryusze otrzymają 4 proc. zysku, co stanowić będzie 15 proc. od wartości kuponu.

Śmiertelność była mniejsza od obrachunkowej. Wypłaciliśmy w roku 1912 po 100

zmarłych członkach i 85 członkach za życia mrk. 325 707,67 wobec mrk. 353 444 w roku 1911.

Ogółem dotychczas wypłacone zostało przez „Westę" do końca 1912 roku
mrk. 6 655 046,11
w 3404 wypadkach.

Rezerwy „Westy" podniosły się w ubiegłym roku 1912 na
mrk. 4 519 740,82

Cały majątek „Westy" wzrósł do wysokości
mrk. 5 052 373,11

Takowy umieszczony jest stosownie do przepisów prawa w pupilarnie pewnych hipotekach, w papierach publicznych, w pożyczkach na polisy członkom udzielonych, w kamienicy własnej, w rezerwie składkowej u tow. reasekuracyjnych, w gotówce kasowej i w bankach.

— **Zwyczajne 25-te Walne Zebranie Banku Ziemskiego w Poznaniu** odbyło się w lokalu bankowym we wtorek, dnia 15-go kwietnia r. b., pod przewodnictwem Prezesa Rady Nadzorczej p. Zygmunta Chłapowskiego z Turwi przy dość licznym udziale akcyonaryuszów.

Członek Zarządu p. Z. Rychłowski w sprawozdaniu swem dał pogląd na rozwój i działalność instytucyi w ubiegłem dwudziestopięcioleciu, przedstawił bieg interesów bankowych w ciągu roku obrachunkowego i objaśnił sumy obrotowe wynoszące po obu stronach 27 959 094,32 mrk., bilans wykazujący po obu stronach1 0298898,39 mrk., oraz rachunek zysków i strat, wykazujący czystego zysku do podziału 2 76182,75 mrk.

Po odczytaniu protokółu Komisyi Rewizyjnej przez p. dr. Jerzykowskiego z Poznania przyjęto i potwierdzono bilans i rachunek zysków i strat bez zmian udzielając Zarządowi i Radzie Nadzorczej pokwitowania.

Również przyjęto projekt podziału czystego zysku, z którego 160 000 mrk. przeznaczono na 4 proc. dywidendy, 13809, 13 mrk. przekazano do funduszu rezerwowego zwyczajnego, 42712,08 mrk. do funduszu rezerwowego nadzwyczajnego, 27000 mrk. dla Rady Nadzorczej, Zarządu i urzędników, 16000 mrk. do funduszu emerytalnego, 11300 mrk. do rachunku kosztów handlowych na rok 1913, a resztę 5361,54 mrk do przeniesienia na rok 1913.

Odstawione tym sposobem fundusze rezerwy zwyczajnej i nadzwyczajnej wynoszą obecnie 639268,26 mrk. wobec 4000000 mrk. kapitału zakładowego i 2535167,13 mrk. depozytów.

Fundusz Delcredere wynosi 58636,60 mrk., a fundusz emerytalny wzrósł do wysokości 133559,50 mrk.

W miejsce ustępujących na mocy statutu 3-ch członków Rady Nadzorczej wybrano jednogłośnie ponownie pp. dr. Zygmunta Celichowskiego, Józefa Czapskiego i Leona Żółtowskiego wszystkich na 2 lata.

Do Komisyi Rewizyjnej wybrano ponownie pp. dr. Jackowskiego i J. Paczkowskiego, w miejsce ś. p. Henryka Hedingera p. dr. Stanisława Jerzykowskiego, a na zastępców pp. Antoniego Zakrzewskiego i Stanisława Krysiewicza.

— **Polskie Tow. Esperantystów.** Zebranie miesięczne odbędzie się w wtorek 22 bm. o g. trzy kwadranse na 9 wiecz. przy ul. św. Marcina 68 (Resursa). Na porządku dziennym między innymi: o tegorocznym wszechświatowym kongresie Esperanckim w Bernie — deklamacye w języku Esperanto — sprawa nowego kursu — sprawozdanie półroczne ze stanu kasy, wybór bibliotekarza. Członków uprasza się o liczne przybycie — goście mile widziani.

— **Roczne Walne Zebranie „Stelli"** Tow. Kolonij Wakacyjnych i Stacyj Sanitarnych, Tow. zap. w Poznaniu odbędzie się na salce Domu Katolickiego w poniedziałek, dnia 28-go kwietnia 1913 r. o godzinie pół do 9-tej wieczorem.

Porządek obrad: 1. Zagajenie. 2. Wybór przewodniczącego. 3. Sprawozdania: a) sekretarza, b) skarbnika. 4. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej. 5. Pokwitowanie. 6. Komunikaty Zarządu. 7. Wnioski bez uchwał.

W imieniu Zarządu
Władysław Jerzykiewicz, prezes.

Szanownych członków uprasza się o liczne przybycie na zebranie. Wstęp na salę dozwolony tylko członkom „Stelli."

— **Biedna wdowa,** obarczona dziećmi, kaleka i obłożnie chora, walcząca z biedą i nędzą, błaga serca litościwe w imię miłosierdzia Bożego o pomoc i wsparcie. Pospiech pożądany. Ofiary na ten cel przyjmujemy.

— **Teatr włościański** w Topoli pod Łobżenicą, urządzony w niedzielę, dnia 6-go kwietnia br. na salce p. Michała Smolarza, udał się nadspodziewanie. Pogoda iście wiosenna utrzymała się do samego wieczora, to też nawet w dalszej okolicy goście zawitali. Nie trwało długo, a salka była zapełniona po brzegi nie mogąc niestety wszystkich gości w ścianach swych pomieścić. Zdaje się, że śmiało twierdzić można, że żaden z widzów nie pożałował przybycia swego, gdyż z pierwszej sztuki (p. t. „Sieroce wiano") poważnej można było zaczerpnąć nauki, w drugiej zaś (p. t. „Występ na prowincyi") bezmiar wesołości ogarnął słuchaczy. Gra sama amatorów, którzy po raz pierwszy dopiero stawali na scenie, wywołała powszechny podziw — nawet u wybredniejszych widzów Na każdym niemal kroku u występujących odbijało się dodatnio zrozumienie sztuki, a piękne kosytumy krakowskie, pożyczone od firmy B. Niksdorf z Poznania, dopełniły całokształtu obrazu żywego, wyjętego z życia braci naszych Krakusów. Gromkie też oklaski i pochwały były dla amatorów sowicie zasłużoną nagrodą za podjęte trudy i nie szczędzone wysiłki, oraz zachętą i bodźcem do dalszej na tem polu pracy. Podnieść jeszcze należy, że nietylko sama młodzież ręki do pracy dołożyła, lecz także kilku starszych, ojców rodzin, czynny wzięło udział w występie, aby tem samem dać młodym przykład, jak do pracy, która i rozwesela i kształci i podnosi, rączo garnąć się powinni.

Szczęść Boże w dalszej pracy temu młodemu gniazdu miłośników sceny naszej!

Po przedstawieniu pląsy weszły w swoje prawa i bawiono się zgodnie i ochoczo do świtu. **Miś-Różycki.**

— **Z Łobżenicy.** W niedzielę, dnia 20-go kwietnia br. zamierza tutejsze Tow. Przemysłowe urządzić na sali bankowej zabawę z przedstawieniem amatorskiem. Odegra się trzyaktową komedyę Michała Bałuckiego p. t.: „Grube ryby". Ponieważ scena łobżenicka w ostatnich latach dotąd nigdy nie zawiodła, życzyćby sobie można bardzo gorąco, aby okoliczne ziemiaństwo, które mało jakoś okazuje zainteresowania w tym względzie, nieco liczniej się zjechało. **Miś-Różycki.**

— **Pleszew.** W niedzielę, dnia 20-go b. m. urządza tutejsze Koło muzyczne koncert instrumentalny. Program doborowy i urozmaicony. Początek o godzinie 8 wieczorem. Po koncercie zabawa na sali. O liczny udział prosi
S. Bendlewicz, przewodniczący.

— **Ostrów.** W niedzielę, dnia 20-go b. m. wystawia tutejsze Towarzystwo śpiewacze po raz drugi w wielkiej sali Domu katolickiego obraz sceniczny w 4 aktach ze śpiewami i tańcami p. t. „Wnuk Tumrego". Po przedstawieniu skromna zabawa z tańcami. O liczny udział prosi **Zarząd.**

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. jubilat Teodor Rejewski,** senior dekanatu poznańskiego, umarł dnia 8 bm. w Poznaniu, w 86 roku życia a 61 roku kapłaństwa. Zmarły był przez blizko 25 lat kapelanem Sióstr Elżbietanek, a dawniej był kapelanem w pałacu Działyńskich. Była to na wskroś świątobliwa i uczciwa dusza, która nikomu nie chciała wyrządzić krzywdy, ale raczej każdemu dopomódz. Mimo wątłego zdrowia doczekał się śp. ks. Rejewski sędziwego wieku. Nieboszczyk był gorliwym czytelnikiem „Pracy" od początku jej założenia. Niech spoczywa w Bogu! — **Ś. p. Marya Stanisława Karłowska,** Siostra Karmelitanka Bosa, dnia 8-go bm. w Krakowie w 64-ym roku życia. — **Ś. p. Ludwik Sierszulski,** dnia 5-go bm. w Miłosławiu, przeżywszy 58 lat. Nieboszczyk brał żywy udział we wszystkich pracach obywatelskich, był dobrym Polakiem i gorącym patryotą. — **Ś. p. Stefan Krupski,** przeżywszy 24 lata d. 7 bm. w Poznaniu. — **Ś. p. Nepomucen Berliński,** d. 5 bm. w Poznaniu. — **Ś. p. Pelagia z Borowiczów Piotrowska,** d. 8 bm. w Miejskiej Górce. — **Ś. p. Wiktorya z Szwanków Ratajczakowa,** przeżywszy 74 lata, dnia 8 bm. w Berlinie. — **Ś. p. Józef Schilf,** d. 8 bm. w Berlinie. — **Ś. p. Artur Górski,** d. 9 bm. w Gdańsku. — **Ś. p. Bronisław Śliwiński,** d. 10 bm. w Gnieźnie w 22-im roku życia. — **Ś. p. Władysława Maciejewska,** dnia 10-go bm. w Gnieźnie, przeżywszy lat 36. — **Ś. p. Wojciech Bobkiewicz,** dnia 10-go bm. w Berlinie w 49-ym roku życia. — **Ś. p. z Mardasów Maryanna Mikołajczak,** dnia 10-go bm. w Berlinie w 33-im roku życia. — **Ś. p. Waleryan Cichowicz,** dnia 10 bm. w zakładzie św. Jadwigi w Berlinie. — **Ś. p. Jan Łuczkowski,** emerytowany rendant Banku ludowego w Mogilnie, dnia 15-go bm. — R. i. p.

Od Redakcyi.

Na liczne zapytania odpowiadamy, iż odtąd stale będziemy dawali po dwie strony powieści „Boju Olbrzymów".

Musieliśmy się w ostatnich zeszytach ograniczyć do jednej strony, gdyż dostarczony nam manuskrypt się kończył, a autor p. Gomulicki głuchy był na wszelkie nasze prośby i zaklęcia, przesłane mu w dwóch zwyczajnych i dwóch rekomendowanych listach.

I bylibyśmy byli musieli przerwać druk tej powieści, gdyby nie uprzejmość redakcyi krakowskiej „Nowej Reformy", która nabywszy porówno z nami tę powieść, z kłopotu nas wybawiła.

Przy tej sposobności oświadczamy, że w przyszłości pod żadnym pozorem i warunkiem nie wypłacimy honoraryum ani zaliczek wcześniej niż całość zamówionej pracy będzie w naszych rękach.

Ile razy bowiem odstąpiliśmy od tej zasady, tyle razy gorżko tego żałować musieliśmy.

— **Panu Stanisławowi K. w Poznaniu.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć. Rzecz ta nadaje się jednakże do tygodnika dla rzemiosła, przemysłu i handlu. Radzimy więc Szan. Panu udać się z ofertą do redakcyi „Przemysłowca" przy ulicy Ogrodowej 5.



Na północnym krańcu tunetańskiej Sahary. W arabskiej pralni.

Na północnym krańcu tunetańskiej Sahary.

Podczas kiedy większa część turystów naszych szuka zimą słońca i jeździ przeważnie na Rivierę, lub do Południowych Włoch i Egiptu, leży na południowem wybrzeżu Morza Śródziemnego, naprzeciwko Sycylii, prawdziwa kraina słońca. Kraina ta zasługuje pod wielu względami na większą uwagę podróżnych aniżeli wyżej wymienione miejscowości, posiada bowiem o wiele więcej warunków zadowalających każdego, nawet bardzo wybrednego turystę.

Nad Małą Syrtą walczą nieustannie szaro-żółte potoki nieskończonego morza piaskowego Sahary z przezroczemi, ciemno-niebieskiemi falami Morza Śródziemnego; i pustynia i morze są pełne słońca i ciszy — tylko przyroda sama ożywia je, a czem na morzu są liczne zielone wysepki, porozrzucane na ogromnym przestworzu wody, tem są w pustyni oazy, podobne do wysp, odcinających się ostro na tle jasnego piasku ciemnemi i cienistemi palmami. Tam kończą się też nagie i suche, deszczem i wichrem poszarpane łańcuchy Atlasu, odgradzającego dalej na Zachód ląd stały od Morza Śródziemnego. Pasmo tych gór jest wyższe i szersze niż nasze Alpy.

Kraj ten, należący pod względem politycznym do południowego Tunisu, wschodniego Algieru i zachodniego Tripolisu, należy bez wątpienia do najwięcej zajmujących okolic w świecie, przynajmniej co do ludności i kultury, i gdyby dziś już był dostępniejszym, mógłby, jako cel podróży, współzawodniczyć śmiało z Egiptem.

Istnieje tam tak samo jak w Egipcie prastara kultura, a chociaż nie ma tam ani piramid ani sfinksów, to przecież znajdują się liczne budowle z czasów Fenicyan i Rzymian.

O wiele większa i potężniejsza niż Teby lub Aleksandrya wznosiła się niegdyś Kartagina na spadzistem wzgórzu ponad Tunisem, a na nieskończonej pustyni piaszczystej widnieją tu i owdzie, jak Fata Morgana minionych tysięcy lat, potężne ruiny wielkich miast jak np. Tingad u podnóża Auresu, albo Douggha, Tebessa i inne. Oprócz tego są tu ruiny świątyń, pałacy i amfiteatrów, które pod względem obszaru i piękności równać się mogą z włoskiemi gmachami. Najwięcej jednak zajmuje każdego cudzoziemca kultura dzisiejszych mieszkańców Tunisu — przechowała się bowiem do dziś taka, jaką była za czasów rzymskich i we wiekach średnich. Turyści, zwiedzający pobieżnie cuda tego kraju afrykańskiego, nazywają i ludzi i kulturę i wszystko, co tam widzą i podziwiają, „arabskiem", podług przyjętego zwyczaju mianowania wszystkich wyznawców islamu Arabami. W rzeczywistości jednak tworzą Arabowie, czy są potomkami dawnych, mężnych Saracenów, czy późniejszymi przybyszami, bardzo małą część ludności. Mieszkańcy przepysznych oaz palmowych i niedostępnych schronisk w skałach i na górach, mieszczanie wiodący wygodne życie w „białych" miastach, lub zakopani jak krety w podziemnych jamach — wszystko to jest dziwnie mieszanym ludem, w którego żyłach płynie krew mieszkańców trzech części świata, zmieszana od tysięcy lat, i któremu zwyczaje i obyczaje islamu nadały kulturę, bardzo tylko powierzchowną.

Pierwotnymi mieszkańcami, którzy żyli tam już przed przybyciem Fenicyan, byli Berberyjczycy; od Rzymian, owych najlepszych kolonistów wszystkich czasów, nauczyli się uprawy ziemi, budowania grobli i kopania kanałów, które do dziś istnieją jeszcze. A jeżeli obecni właściciele kraju, Francuzi, potrafią na suchej, stepowej ziemi



Na północnym krańcu tunetańskiej Sahary. W arabskiej przędzalni płótna.

nowe zakładać oazy, jeżeli budują nowe drogi i zamieniają szczepy koczujące na stałych mieszkańców oaz, to naśladują we wszystkiem swych poprzedników Rzymian, którzy niegdyś byli tu panami.

Niejeden Berberyjczyk ma dziś jeszcze na czole wytatuowany znak



Na północnym krańcu tunetańskiej Sahary. Objuczony wielbłąd w podróży.

krzyża świętego, z czasów pierwszego chrześcijaństwa i późniejszego byzantyńskiego panowania. Gdy Saraceni w straszliwym napadzie przebiegali kraj cały i z mieczem w ręku torowali drogę islamowi, poddawali się Berberyjczycy półksiężycowi, albo też uciekali w niedostępne kończyny Atlasu, gdzie dotąd jeszcze mieszkają w jamach i jaskiniach skalistych, których nawet zręczni i odważni rycerze islamu zdobyć nie mogli. Razem z Berberyjczykami uciekali tu i liczni żydzi, pochodzący z czasów egipskich i rzymskich. Żyją oni pomiędzy nimi i zachowali aż do dziś wszystkie stare, biblijne zwyczaje. Po skończonym najeździe Saracenów powychodzili Berberyjczycy zwolna z swoich jaskiń; niektórzy przenieśli się do Arabów i Maurów, mieszkających w ciasnych miastach, pełnych malowniczych minaretów i bazarów, jak np. Tunis, Keruan, Suza, Sfax i Monastir; inni zaś osiadli w pobliżu swych łąk i pól na wyżynach, że jednak nie znaleźli tam materyału budowlanego, przeto zakopali się poprostu jak krety w ziemię i stali się troglodytami, tak Berberyjczycy jak i żydzi.

U wschodnich kończyn Atlasu znajduje się dużo takich podziemnych wsi — na powierzchni ziemi nie widać nic oprócz kilku otworów, podobnych do krateru; nawet meczety i bóżnice znajdują się pod ziemią, a gdzie za sucho było, aby drzewa dosyć miały wilgoci, wykopano dla nich kilka metrów głębokie doły. W tej głębokości pod powierzchnią ziemi znajdują korzenie potrzebną wilgoć — rosną dosyć prędko, lecz po nad ziemią nie wznoszą się koronami wyżej niż łany zboża.

Ponieważ oprócz w oazach, nigdzie nie ma drzewa, budowali Berberejczycy też wsi i miasta, jak np. Medenine, Metameur, Fum Taxahouina itp., w których każdy dom wygląda jak w skale wykute wejście do tunelu. Zdaje się, że w dali widać zapomniany przez Rzymian stos ogromnych, wzdłuż rozciętych rur glinianych. W Medenine znajdują się resztki takich rur, leżące warstwami jedne na drugich i odpowiadające wysokości cztero lub pięciopiętrowych kamienic. Nieregularnie umieszczone otwory w frontowych ścianach służą za drzwi i okna i wytwarzają wewnątrz półświatło. Berberyjczycy posługują się głównie narzędziami z epoki kamiennej. Ziarnka zboża mielą ręcznemi kamiennemi młynkami i kamiennemi młotkami tłuką łodygi esparta dopóty, dopóki nie zmiękną zupełnie. Potem wyplatają z nich maty i kosze. Podczas kiedy mężczyźni przepędzają na wiosnę i w jesieni tygodnie całe na polu i nie wracają wcale do mieszkania, pracują kobiety w domu bardzo pilnie; piorą wełnę, przędzą nici i na pierwotnych warsztatach, nie znając żadnych ulepszeń tegoczesnych, wyplatają maty i materyały na suknie, które rzeczywiście są niezdarte.

W tunetańskich miastach są także kobiety i dziewczęta, stosownie do przepisów islamu, ograniczone na pobyt w domu i dziedzińcu domowym, jeżeli zaś pragną wieczorem świeżego powietrza i wypoczynku, wychodzą na płaskie dachy, gdzie wolno im przebywać bez zasłony na twarzy. Na ulicy są blade i smutne ich twarze zakryte grubemi welonami, i tylko „czarne oczy gazeli", otoczone sztucznie ciemno-niebieską obwódką, wpatrują się zdumione w cudzoziemców.

W miastach znikł po części ów pierwotny typ Berberyjczyka, bo żaden kraj w mahometańskiej Afryce nie był przez obce narody tak często zdobywanym, podbijanym, lub zwiedzanym, jak ów pas ziemi, leżący nad Małą Syrtą. Przez kilka set lat znajdowało się tu główne siedlisko rozbójników morskich, którzy szukając łupu jeździli na swych okrętach po Morzu Śródziemnem i przywozili do domu kaukaskich jeńców i białe niewolnice; tu był cel licznych chrześcijańskich zbiegów z krajów leżących nad Morzem Śródziemnem, wszyscy nieomal stali się renegatami i połączyli się z mahometanami: Turcy, Grecy i Hiszpanie nową wnieśli tu krew. I jak z Północy przez morze tak i z Południa przez morze piaszczyste Sahary przybyło w ciągu tysięcy lat mnóstwo podróżnych z dalekiego Sudanu i Etyopii. Miasta nad Małą Syrtą: Gabes, Zarzis i Mehadia były zarazem miastami portowemi dla okrętów karawany, to jest: wielbłądów. Kupcy i handlarze niewolników z Arabii sprowadzali tu podróżujących i niewolników; sułtani sudańscy przybywali często z wielkim orszakiem, albo w celu zakupienia towarów, albo w celu odbywania pielgrzymki do świętej Kaaby. Wszystko to wytworzyło lud mieszany, który jednak przeważnie poddał się surowym, nieugiętym przepisom islamu. Mahometańskie święta nigdzie prawie nie bywają tak uroczyście obchodzone jak tutaj. Gdy muezzin wzywa z minaretu meczetu w świętem mieście Keman do modlitwy, pochylają wszyscy pobożnie głowy ku Wschodowi, a w wielkie święta Ramazanu, Schewoala i Moharremu gromadzą się wszyscy mężczyzni na placach i ulicach miast, lub po za gęstemi lasami palmowemi, aby wysłuchać kazania ulemów. Potem, na znak najwyższego szacunku dla Allaha, rzu-

cają się na kolana i dotykają czołem ziemi.

W tych oazach wiodą Arabowie i Berberyjczycy, murzyni i żydzi, oraz wszyscy inni mieszkańcy życie wczesnych wieków średnich — z pierwszych czasów Hedżry, życie takie, jakie tu zaprowadziły dzikie hordy jeźdźców arabskich. W cieniu lasów palmowych stoją ich chaty, ulepione z gliny, o płaskich dachach, ich meczety i skromne, chylące się ku upadkowi minarety i tam też znajduje się obszerny plac targowy, na którym w pewnych dniach wszyscy mieszkańcy się gromadzą. Przybywają wtedy jeszcze mieszkańcy wsi sąsiednich, Beduini z rodzinami i nawpół dzicy Tuaregowie, z twarzami zasłoniętemi czarnemi chustkami. Kupują oni nową broń i każą w swej obecności lać nowe kule do flint i pistoletów.

Przybywają tam też czasem kobiety, które długą, kilkodniową podróż przez pustynię odbywają na wielbłądach, siedząc na nich w wielkich, chustkami osłonionych koszach, nikt bowiem, ani nawet stróże, ani przewodnicy nie powinni widzieć ich twarzy. Na wielbłądach przywożą tam także kupcy dywaniki do modlitwy i rozmaite święte przedmioty; handlarze sprzedawają tam owce, skóry, wonne olejki, daktyle i figi, zapakowane w ogromnych miechach; inne zaś miechy, ustawione jeden obok drugiego, zawierają ulubiony przysmak tamtejszych ludzi: suszoną szarańczę. Murzyni polecają rozmaite przedmioty tualetowe z Europy, lusterka, grzebienie, pomady i perfumy; żydowscy kupcy mają towary skórzane, albo siedzą za stolikami i zmieniają pieniądze. Domy zajezdne przepełnione są gośćmi; starzy Arabi siedzą na ziemi przed kawiarniami i popijają gorącą „kauwę," a pomiędzy całym tym tłumem tłoczą się ślepi, kulawi i trędowaci żebracy, proszący natarczywie o jałmużnę.

W lasach natomiast, w cieniu wysmukłych palm, głęboka panuje cisza; w zielonym zmierzchu pod wierzchołkami drzew nęcą oko pęki złotożółtych daktyli i fig. Drzewa pomarańczowe i cytrynowe gną się pod ciężarem owoców, pomiędzy niemi zaś zwieszają się girlandy szczepu winnego o wielkich soczystych gronach. Oprócz tych owoców rosną tam jeszcze pistacye, orzechy i granaty; na starannie uprawianych polach rośnie bujnie zboże i wszelkie warzywo. Cały ten rajski urodzaj, ta bujna roślinność, i obfitość owoców są wynikiem wody, która spływając z gór w malowniczych nieraz spadach, jest ujętą w sztuczne kanały i zwilża oazy, owe raje Sahary.

Podróżnik.



Na północnym krańcu tunetańskiej Sahary. Wielka modlitwa Arabów.

Braterstwo ducha.

Braterstwo ducha! Jestże w ludzkiej mowie,
Czar taki błogi jak w tem jednem słowie,
Pełen potęgi, co jej serce słucha,
Braterstwo ducha!

Braterstwo ducha — to nie znaczy przecie,
Że słabość jednych moc czyjąś oplecie,
Lub, że mu zwiśnie istnieniem swem głuchem,
U nóg łańcuchem.

Braterstwo ducha — nić duchową przędzie,
Przez nią czuć wielkość nieśmiertelnych znamion,
A kto je zdobył, ten ma zawsze, wszędzie
Skrzydła u ramion.

Zbratani duchem nie po róż kobiercu,
Lecz stromym szlakiem i skalnym upłazem,
Z jednakiem wielkiem ukochaniem w sercu,
Pobiegną razem.

Pobiegną razem, gdzie idzie niewielu,
Gdzie krwawo, smutno, a ciemnica głucha,
I choć osłabną, lecz dojdą do celu,
Braterstwem ducha!

A jeśli czasem siły się zachwieją,
I w koło zmierzchy zapadną ponure,
Jeden drugiego pokrzepi nadzieją,
Powie: „spojrz w górę!"

Niby dwóch iskier w ofiarnym płomieniu,
Braterstwo ducha stając się obrazem,
Jak te płomyki w ognistym strumieniu,
Płyną też razem.

Nawet gdy śmierci zbliżą się anieli,
Grób ich mogilny nie rozłączy głazem,
Bo myśl zgasłego żywy w czyn swój wcieli,
I pójdą razem.

Ignacya Piątkowska.

Dział kobiecy.

Kobieta w zawodzie i w małżeństwie.

Każdy myślący człowiek toczy walkę pomiędzy naturalnemi instynktami swej płci a pragnieniem wyższego rozwoju swej wewnętrznej istoty. Fizys i psyche — ciało i dusza walczą nieustannie o palmę zwycięstwa.

U mężczyzn odgrywa płeć drugą rolę o tyle, że dzięki fizycznej przewadze, wrodzonej bezwzględności i urodzonemu samolubstwu, bierze przemocą to, czego mu potrzeba do rozwoju i podtrzymania sił — żywność i kobietę — aby na tej podstawie dopiero dojść do właściwego zawodu i do służenia społeczeństwu, już to pracą umysłową, już to czynnością fizyczną.

Mężczyzna należy do całej ludzkości, podczas kiedy kobieta przeznaczoną jest na to, aby należała do męża i do rodziny.

Mężczyzna więc był i w rozwoju ludzkości stroną zaczepiającą i zwyciężającą, podczas kiedy kobieta zawsze była biernie czynną. Już sama budowa ciał narzuca mężczyźnie rolę dającego, kobiecie zaś rolę otrzymującej dary i zarządzającej niemi. I dlatego też pozostanie na zawsze *właściwem* to, jeżeli kobieta pragnie mieć męża i dzieci; jest

to najodpowiedniejszym dla niej zawodem, *niewłaściwem* zaś, jeżeli działalność swoją przenosi na zewnątrz.

Kobieta normalna jest istotą płci i uczucia. W tem leży największa jej siła i — największa słabość zarazem. Jej ciało, jej płeć — to jej broń, obrona i cała przyszłość.

Jeżeli jednak pragnie się uwolnić z tych więzów, jakiemi krępuje ją natura, może to uczynić wtenczas tylko, gdy tak jak mężczyzna, rozwinie swe umysłowe zdolności, gdy duszą zwalczy ciało i nie widzi jedynego i właściwego celu życia *tylko* w miłości!

Ale każdy człowiek ma pewien procent skłonności drugiej płci w sobie, jesť dwupłciowym. Są więc wyraźnie męskie kobiety i kobiecy mężczyźni. Z powodu dotychczasowego rozdziału płci w zawodach i w życiu publicznem, nie były skłonności te tak jasne, dopiero ruch kobiecy w 19 stuleciu, wytworzony socyalną potrzebą ludzkości, zbudził w kobiecie męski żywioł. Różnica więc płci, podkreślona przez dawniejsze małżeństwo, jest w nowem małżeństwie zatartą. Dzięki ruchowi kobiecemu przekształciła się kobieta w towarzyszkę mężczyzny w walce o byt. Ruch kobiecy stworzył dla kobiet *zawody zewnętrzne*, a odbierając im dom, dał w zamian świat!

Zawody kobiece istniały wprawdzie zawsze: w pielęgnowaniu chorych, w gospodarstwie domowem, w rolnictwie i kopalniach — jako współpracownica mężczyzny, a mianowicie męża — zawsze i wszędzie była kobieta czynną. Ale kobiety pozostawały zawsze w pewnej zależności męża, i w naszych dopiero czasach zdołały sobie wywalczyć niezależność i wszelkie przysługujące im prawa.

I prawa te zdobyła kobieta prędzej w świecie, niż w domu i w rodzinie.

Rodzina bowiem jest pojęciem konserwatywnem, rodzina chce zawsze osłaniać, opiekować się i utrzymywać. Rodzina ścieśnia granice — jest to małe państwo, same w sobie. Państewko takie było dotąd zawsze autokratycznie rządzone przez mężczyznę i musiało teraz, aby zadość uczynić zmienionym wymaganiom kobiety, przejść do zarządu demokratycznego. Na to były potrzebne rewolucye tak jak w wielkich państwach, tylko że w małem kole były zaciętsze i więcej niszczące.

Samodzielna dzisiejsza kobieta wyzwoliła się już z pod powagi rodzicielskiej, lecz jeszcze nie z pod powagi mężowskiej. *Tę niezależność musi sobie kobieta zdobyć w każdym poszczególnym przypadku.*

U dziewczyny, której wybrany zawód stał się treścią życia, zaczynają się wewnętrzne konflikty z chwilą, w której poznaje miłość. Wtedy okrywa nagle swoją kobiecość i staje się istotą uczuciową. Konflikty zaostrzają się, jeżeli teraz chodzi o to: *albo* zawód *albo* małżeństwo. Jest to żądanie, jakie wielu mężczyzn stawiać będzie, bo *każdemu prawie mężczyźnie jest samodzielność kobiety wstrętną*. Mężczyzna chce zawsze być dającym i panującym. Myśl, że żona jego jest od niego niezależną, sprawia mu przykrość. Tylko mężczyzna wolnomyślny lub taki, który pod względem majątkowym pragnie sobie byt polepszyć, ożeni się *bez* wewnętrznego wahania z kobietą, pozostającą przy raz obranym zawodzie.

Mężatka, pracująca zawodowo, jest zawsze w drodze pomiędzy domem a zawodem, pomiędzy uczuciem a rozumem. I nieraz musi poświęcać jedno z powodu drugiego.

Życie zawodowe nadaje kobiecie pewną szorstkość i ogranicza jeden z najnaturalniejszych przymiotów, t. j. potulność. Samodzielna kobieta występuje wobec mężczyzny zupełnie inaczej jak dawniejsza młoda dziewczyna. Kobieta dzisiejsza *stawia żądania*. Ma ona bystrzejsze oczy na słabości mężczyzny, i świadoma własnego „ja", żąda od niego większego natężenia sił. Bo w naturze kobiety leży życzenie, aby mężczyzna, którego kocha, był silnym, silniejszym niż ona sama. Wywyższeniem ukochanego chce wywyższyć samą siebie.

Samodzielna kobieta jest niewygodną dla męża. Jest ona mu, w razie jeżeli on rzeczywiście mniej jest dzielnym, żywym zarzutem dla jego słabości, i oboje małżonkowie mogą często stać naprzeciw siebie jako nieprzyjaciele, którzy czekają tylko na to, aby sobie nawzajem klęskę zgotować!

Małżeństwo z odmiennemi zawodami z obydwóch stron może tylko wtenczas stać się harmonijnem, jeżeli obie strony wzajemną pracę umieją ocenić i uszanować. Mężczyzna zawsze jest skłonnym do szacowania pracy kobiecej, w jakimkolwielk bądź zawodzie, dosyć nizko — niżej, niż własnej. To mu leży w krwi od setek lat! Kobieta musi sobie najczęściej dopiero zdobyć uznanie męża dla swej pracy, jeżeli nie dla niej właśnie została poślubioną. Uczucie, że żona ma obok niego inne jeszcze interesy i zajęcia, które myśli jej wypełniają i czas zabierają, obraża dumę i egoizm męża. On chce, aby żona zawsze tylko była *dla niego*.

I teraz ma się wyrzec swego stanowiska tyrana domowego — chociaż w najłagodniejszej formie — nie ma uważać żony za własność osobistą i ma sam w sobie zniszczyć *tysiące lat stare* tradycye o niższości kobiety!

Tylko od żony zależy uzyskanie uznania męża. Skoro stała się wyższą przez pracę zawodową, powinna więc przekonać go o tej swojej wyższości. Ale nie zdobędzie sobie jego uzania, jeżeli powołuje się zawsze na swoją pracę i chlubi się swoim zarobkiem. Tem upokarza tylko męża i rozgorycza go na siebie.

Musi go więc koniecznie przekonać, że jej praca ma dla niej zupełnie taką samą wartość, jak jego praca dla niego.

Nie jest to wcale łatwem dla kobiety zarabiającej, jeżeli zarobkiem, jaki dawniej tylko do niej należał, ma się dzielić z mężem, który nie umie nietylko pracy jej ocenić dostatecznie, ale który nadto mniej może zarabiając, chce być panem domu i panować sam! Bo mąż jest przyzwyczajony do tego, że uważa wszystko, co żona dla niego czyni i poświęca, za coś zupełnie *naturalnego*.

Żona powinna więc zawsze pewną część zarobku swojego zatrzymać dla siebie. Może się *dzielić* zarobkiem, ale nie poświęcać go.

Zbytecznem nadmieniać, że życie rodzinne cierpi pod wpływem *pozadomowej* pracy kobiety, mianowicie pod względem uczucia. Starodawna zaciszność domu znika, jeżeli serce rodziny, a tem jest żona i matka — nie bije wyłącznie dla niej. Jeżeli kobieta pracuje dla konieczności zarobku, co zwykle bywa, to mąż, nie mający wyrozumienia dla dobrych jej niedbałości, w d byłby godny pogardy, nie każda bowiem kobieta ma siły nadzwyczajne. Ale jeżeli kobieta zaniedbuje dom bez potrzeby — tylko dlatego, aby zaznaczyć swoją samodzielność, to wyrządza krzywdę całej swej rodzinie. Nie ma żadnego *moralnego* obowiązku zaniedbywania obowiązków rodzinnych. *Dla każdej kobiety zamężnej musi rodzina na pierwszem stać miejscu, potem dopiero inne obowiązki.*

Wyjątkami są naturalnie niezwykle uzdolnione kobiety, których talenta należą do szerszej publiczności. Ich małżeństwa wywołują jeszcze cięższe walki, niż małżeństwa przeciętne i nieraz nusi genialna kobieta sławę swoją i popularność bardzo drogo okupić całem szczęściem żony i matki.

Korzyści, jakie praca zawodowa kobiety rodzinie przynieść może, nie polegają wyłącznie na pieniądzach. Za pomocą wyższych dochodów można wprawdzie łożyć więcej na zdrowie i wykształcenie dzieci, i dom cały na wyższej utrzymywać stopie, większą jest jednak korzyść etyczna.

Wykształcenie nadaje charakterowi kobiety o wiele więcej stałości, siły i odporności, tak, że w kilku godzinach może kobieta wykształcona więcej wykoń-



Czy kocha, czy nie kocha?

czyć pracy domowej, niż kobieta niewykształcona w ciągu całego dnia. Ma ona silniejsze poczucie odpowiedzialności i obowiązku — jest punktualniejszą, umysłowo żwawszą i więcej ma serca dla każdego, jak kobieta, która jest tylko gospodynią domu.

Wymagania, jakie ma dla siebie samej, są liczne, lecz tem samem stawia je wszystkim członkom rodziny i wzmacnia tak męża jak i dzieci własnym swoim przykładem. Małżeństwo swoje stawia także na wyższym i silniejszym fundamencie. Tworzy dzieła, które wywierają wpływ na całe pokolenia późniejsze.

Szczęśliwe wyrównanie pomiędzy zawodem a małżeństwem wymaga od kobiety najwyższych sił duszy i serca, a mianowicie: panowania nad sobą, koncentracyi, poświęcenia, dobroci, pilności, wyrozumienia i dumy; bo kobieta powinna w małżeństwie być i zostać krzewicielką wszystkich cnót i wzniosłych uczuć.

Empa.

* * *

Cześć ci, kobieto!

Cześć ci, kobieto! gdy masz serce czyste, pełne miłości dla bliźnich; gdy świecisz dobrym przykładem; gdy naokoło siebie roztaczasz ciepło serdeczne!...

Cześć ci, kobieto! gdy niesiesz ulgę cierpiącym i pociechę strapionym, pomoc biednym i opiekę sierotom; gdy zaszczepiasz w serca malutkich ziarno cnoty!...

Cześć ci, kobieto! gdy kształcisz swój umysł i uszlachetniasz swe serce; gdy perłami talentu i uczucia wzbogacasz nasz klejnot narodowy — mowę ojczystą; gdy wiedziesz ludzkość w krainę ideału i piękna!...

* * *

Obecne mody paryskie.

Nowa moda wiosenna była punktualniejszą, aniżeli wiosna sama, która tego roku drogi do Paryża znaleść jakoś nie może. Ale to nic nie szkodzi — moda paryska kieruje się podług kalendarza, a nie podług pogody. Chociaż na dworze śniegi i wicher — Paryżanka po Wielkiejnocy nie mogłaby się za nic w świecie pokazać w tualecie ubiegłej zimy. Nawet na suknie przejściowe już jest zapóźno. Można by prawie żałować biednych Paryżanek, widząc je drżące od zimna, lecz znoszą one to z poddaniem się i obojętnością i przypominają owego chłopca, który z wyrzutem mówi do ojca:

„Bardzo ojcu zdrowo, że odmroziłem ręce, czemu ojciec nie kupi mi ciepłych rękawiczek!"

I wyrzekania nic nie pomagają, św. Piotr nie ma zrozumienia rzeczy, zapomniał o swoich obowiązkach i Paryżankom nie pozostaje nic innego, jak szczękać zębami w błyszczącym przepychu powiewnych tualet wiosennych.

I jak na złość: nigdy jeszcze nie potrzebowała moda wiosenna tak bardzo jasnych promieni słońca, jak w tym roku, bo więcej chodzi teraz o kolory niż o formę!

Artyści wielkich paryskich „ateliers" krawieckich, rozkoszują się tym razem w kolorach, dzieła ich są żywą harmonią palety. Wszędzie przeważają świetne i błyszczące tony i odcienie. Nie można właściwie powiedzieć, że jakiś specyalny kolor panuje w tegorocznej modzie, chociaż panie, będące w tym wieku, w którym się chętnie kilka lat skreśla, twierdzą stanowczo, że najmodniejszym jest kolor ciemno stalowy i ciemny, błyszczący liliowy. Zresztą wszystkie kolory są modne, oprócz zbyt delikatnych i matowych. Zasada jednolitości upadła — rozmaitość kolorów, jasnych, a nawet i jaskrawych jest na porządku dziennym, mianowicie silne przeciwieństwa są modne i bardzo nieraz wyglądają efektownie. Naprzykład kombinacye: czerwony z modrakowym, złotożółty z zielonym, poma-

rańczowy z fioletowym i t. p. są bardzo ładne i strojne.

Forma tegorocznej mody polega zawsze jeszcze na gracyi wysmukłych, giętkich linij, chociaż nie uwydatnia kształtów ciała już tak bardzo, jak owe wązkie suknie przeszłego sezonu. Gęste fałdy w formie zgrabnych „paniers" albo podpinanych spódnic przerywają prostą linię; tuniki białe lub kolorowe, koronkowe, wyglądają bardzo dobrze na jasnych błyszczących jedwabnych albo adamaszkowych spódniczkach. Nawet i aksamitne są modne.

W salonach najwyższej arystokracyi paryskiej należy w ostatnich czasach do dobrego tonu, aby pani domu przyjmowała gości w tualecie, zastósowanej krojem i kolorem do stylu antique mebli w salonie Technicznym wyrazem, ogólnie przyjętym, a oznaczającym ten nowy kaprys mody, jest: „style ensemblier", a łatwo być może, że nadejdzie dzień, w którym goście będą też musieli składać wizyty w kostyumach, stósownych do salonów, w jakich mają przebywać. Albo w kostyumach rozmaitych Ludwików, albo w pudrowanych perukach roccoco, albo w krynolinach i „reifrokach".

Trochę mniej ekscentryczną jest nowa moda stylizowanych kostyumów narodowych. Paryżanki okazują sympatyę dla narodów bałkańskich w ten sposób, że stroją się w malownicze kostyumy Bułgarek, Serbek i Czarnogórek. Mianowicie kroje i kolory bułgarskie bardzo są w modzie — Paryżanki wiedzą bardzo dobrze, w czem im najwięcej do twarzy. Krótkie otwierane kaftanki, zawiązane w pasie jaskrawe, szerokie, jedwabne szarfy, oszywane srebrną frendzlą — wszystko to wygląda ładnie, zgrabnie i niezwykle. Spódniczki do tego są ciemne, krótkie i dosyć fałdziste, ku dołowi mocno zwężone.

Obok tego ładnego kostyumu utrzymała się dotąd jeszcze ruska bluza — zawsze równa, dosyć długo spuszczona i haftowana kolorowemi jedwabiami. Zamiast paska noszą panie szarfy, które w tym roku bardzo są modne — nawet na tunikach i gładkich sukniach widać je często. Jeden koniec szarfy spadający w tyle lub na boku, zwykle aż do kolan, kończy się dużą rozetą, podtrzymującą równocześnie dolną część spodnicy w zręcznych fałdach do góry.

Trzeba oddać paryskim krawcom tę sprawiedliwość, że w tym roku nie stworzyli nic, co można by nazwać brzydkiem, ekscentrycznem i niegustownem. Wszystko jest piękne — tak formy jak i kolory. Śliczną „nouveauté" są kaftanki satinetowe, które się nosi na płóciennych bluzkach.

Tak wielkich zresztą zmian w tualecie damskiej nie ma dotychczas. Rozmaite wybryki mody ostatniego sezonu, np. pończochy, haftowane perełkami, trzewiki, zaopatrzone w budziki, malowane nogi, które u baletniczek szalone miały powodzenie itp., wszystko to zniknęło, aby nowym ustąpić wybrykom: prawdziwym koronkom, owiniętym w około nóg jak pończochy, podwiązkom z miśnieńskiej porcelany i broszkom z stali lub żelaza... Mają one przypominać dawne, dobre czasy...

Nawet i w modzie nie ma nic absolutnie nowego!

Paryżanka.

Z litewskiego Olimpu.

IV.

Olbrzym.

— Hola, boski Krywekrywejte, sądamiś zajęty a nie dbasz o lud. Wszechwładny Perkun wysłał piękną Mildę, broni ona ludu przed Poklusem, ale go nie ubije.

— Nie moja to sprawa, idź do gromowładnego, on poradzić zdoła.

— Rządy tutejsze zaczynają mi się niepodobać. Od czegożem bogiem wojny, a tu nawet drobnej bitwy ani na lek się nie doczekać. Tutaj w królestwie sielankowy spokój o mdłości mnie przyprawia, a tam na dole na litewskiej ziemi w wypoczynkach i w pracy lud rozmiłowany. Boje prowadzi chętnie ze zwierzyną, ale nie z ludźmi. Marzeniem mojem zwyciężyć Poklusa. Niech się lud nasz przeciwko złemu duchowi uzbroi, niech przeciw niemu wystąpi, niech walczyć czynnie pocznie, a dam mu zwycięstwo i tę ich kochaną ziemię oczyszczę z poklusowych plew na zawsze.

Już Krywekrywejte chciał krewkiego Kawasa upomnieć, aby go nie nudził, gdy przeczuł obecność gromowładnego, więc gotowej myśli nie wypowiedział, jeno odwrócił się od swej pracy i powitał dążącego ku nim Perkuna.

— Bądź pozdrowion po wszystkie wieki, wszechwładny!

— Bądźcie wy także pozdrowieni — odparł Perkun. — Jakież to mili zawarli przymierze, że wspólnie radzą?

— Daruj gromowładny, ja pracy pilnuję, aż tutaj Kawas przyszedł jej szukać a wiesz wszechwładny, że podług twych wyroków utarczki, bitwy, wojny są mu pracą.

— I czujność, czujność — ostro odparł Perkun — o tej to pracy zapomniał mój dzielny. Alem w czujności ja go sam zastąpił. Podczas gdy on tu na nudy narzekał, jam z jego posterunku patrzał w doliny. I cóżem ujrzał? Oto się pod borem przymorskim Germany zbierają, szykują zasadzkę na grono myśliwych, polujących w głębiach.

Kawas w miarę słów perkunowych truchlał, bojaźń wielka opanowała nieustraszonego dotąd boga wojny.

— Poklusa chciałeś całkiem zawojować a obowiązku nie dopilnowałeś. Oświadczam uroczyście, że Poklus istnieć będzie aż ja ducha jego w niezbyt rozwieję, gdy z nizinami złączę me królestwo. Przeto nie sięgnie go nigdy twoja władza. Spamiętaj to na zawsze a teraz spiesz na twoje stanowisko. Podczas boju spuść się na głowy walczących i wspieraj naszych.

— Wszechwładny, przebaczenia — westchnął jękliwie Kawas i z całą gotowością pośpieszył na swój posterunek.

A gromowładny wraz z Krywekrywejtem do innych spraw prześli.

* * *

Kawas powrócił z większą jeszcze trwogą w królestwo niebieskie. Perkun przyjął go gniewnie pomrukiem grzmotu.

— Ratuj, gromowładny, — zaczął Kawas łzawo — wspieranie naszych przeszło moje siły. Myśliwych nieliczna gromada, nawet z moją mocą nie podoła zbrojnym hufcom germańskim, których bóg mocniejszy ode mnie, większą mocą wspiera.

— Twoim udziałem ma być znój i trud, tchórzliwieś odbiegł nieszczęsnych walczących...

— Jeden grom panie, siły wrogów złamie.

— Szkoda mi gromów na nich. Na tom dał ci władzę, abyś sam radził, pragnąłeś walki, masz ją w całej pełni.

— Łaskawie radę błogosławioną rzuć mi w jednem słowie, a ciała Niemców ujrzysz poległe.

— Więc śpiesz Litwinom z najszybszą pomocą, w drodze w doliny zahucz wojennym sygnałem, a posiłki wnet nadejdą rodakom. Ty sam wstąp w szeregi naszych, weź poległego jakiego zbroicę, weź miecz do ręki i walcz przeciw wrogom.

* * *

Zdziwili się Litwini nagłej pomocy nieznanego olbrzyma, który w germańskiej zbroi z niemieckiego rycerza mieczem w ręce walczył zawzięcie przeciwko ich wrogom. Ręce im ze znużenia opadły, po zaciętej a nierównej walce odstąpili na bok, a ówczesny nieznany olbrzym Germanów zmiatał jak muchy i z boru wypierał, aż poczęli uciekać, jego siłę nadprzyrodzoną poznawszy. Ża-

den bowiem cios go nie zranił, żaden strzał łukowy nie przeszył. Uciekając w popłochu naprożno wzywali pomocy swych bogów ze świętej walhalli. Olbrzym zaprzestał ich gonić a Litwini otoczyli go kołem, nadeszły też liczne posiłki uzbrojonego na prędce litewskiego ludu. Wszyscy z prawdziwym i ukrytym lękiem patrzyli w płonące oczy olbrzyma, który prędkim ruchem zrzucał zbroję ze siebie. Na ich natarczywe pytania, kim jest, odrzekł potężnym głosem:

— Z woli Perkuna zesłan wam jestem. Jeśli popadniecie kiedy w bój z Germany, wzywajcie mnie na pomoc, Kawas moje imię. A jeśli was Perkun godnymi łaski uzna, to was wspomogę.

Wzniósł wzrok i jeszcze mówił:

— Teraz o wszechwładny, przebacz twemu słudze, bo radość w nim rośnie, że odkupił winę.

Po tych słowach wzniósł się lekko w powietrzne przestworze. Gromada Litwinów żegnała go błogosławieństwem.

Jula Męcińska.

Dzwony jęczą..

Gdzieś w dali cicho jęczą polskie dzwony,
Echo ich płynie nad pól morza płowe,
Gdzie każdy złoty kłos opuścił głowę
W tajemniczej jakiejś myśli pogrążony...

Gdzieś w dali cicho jęczą polskie dzwony...
Może do nieba niosą one mowę
Ziemnicy, której nadzieje różowe
Codzień w zórz ogród odchodzą skrwawiony...

Odchodzą ciche o wieczornej chwili
W łzach mgieł tonące, w zachodu purpurze,
A Polska smutnie swoje czoło chyli,
By z rannym świtem wzrok podnieść ku górze,
Z nadzieją w duszy jasną — i młodzieńczą...
Gdzieś w dali cicho polskie dzwony jęczą...

Tercyan.

Moja lampa.

Romans nieśmiałego lekarza.

Spojrzeniem dała mi do poznania, żem sam temu winien; a tymczasem Jasio, wołał, bo nowa, pusta myśl przyszła mu do głowy:

— Konsyliarzu! czemuś się pan dotąd nie ożenił? pewnie się pan kocha! jestem tego pewny!...

— Jasiu! Jasiu! — przerwała naprawdę oburzona pani Górska, i zaczęła coś tym samym tonem perswadować synowi, czego ja nie słyszałem, bo mnie co innego zajęło.

Zawstydzony wyskokiem młodego chłopca, spuściłem głowę, sam już nie wiedząc, jak to przyjąć, gdy nagle o moje uszy odbił się dziwny dźwięk... podniosłem głowę. Niedaleko mnie siedziała panna Edzia, tłumiąc serdeczny, szczery śmiech. Ten śmiech poruszył mnie do głębi, czyniąc tak przykre, bolesne nawet wrażenie, jakiego nigdy dotąd nie doznałem. Zdawało mi się, że ktoś moje serce rozdziera... Oczy nasze spotkały się: mój wzrok musiał być bardzo wymowny, bo nagle śmiech ustał i twarz Edzi pokryła się rumieńcem.

Wybiegła z pokoju.

Ja także wstałem, chcąc odejść i żegnając się, prosiłem pani Górskiej, by nie czyniła wymówek synowi, który, chociaż skruszony i zawstydzony, nie wydał mi się wcale winnym. Był żywy, roztrzepany, oto wszystko.

Winnym, według mnie, był kto inny....

Zacna pani Górska tak wzięła moją sprawę do serca, że nigdy jeszcze równie czułą dla mnie nie była jak przy tem pożegnaniu prosząc najserdeczniej, bym przebaczył i nie zrywał stosunków.

— O tem mowy nie ma, szanowna pani! — wyrzekłem, zdobywając się na uśmiech, choć mi się serce krajało. — Jasio chciał, bym mu wyjawił swoje tajemnice, tak jak on mi się zwierza ze swoich... tylko wybór miejsca nie był stosowny. Wiem przecie, że nie pragnie nigdy uczynić mi przykrości.

Przycisnąłem do piersi biednego winowajcę i poszedłem do siebie.

Tego wieczora „moja lampa" nie grała żadnej roli; ani nie rozkoszowałem się jej widokiem, ani myślałem o niej... Inne myśli uparcie mnie prześladowały...

Śmiejąca się tak szczerze Edzia, podczas gdy Jasio robił swoje przypuszczenia, stała mi w oczach ciągle. Śmiała się, czułem to, z tego przypuszczenia, że ja mógłbym się odważyć zakochać, a nawet ożenić... Gdyby nie dziwne jej ze mną postępowanie tego wieczoru, nigdyby mi podobne myśli do głowy nie przyszły.

Po bezsennej nocy wstałem wcześnie i zajęty byłem biednymi pacyentami, których to była godzina; nagle z książkami pod pachą, idąc do szkoły, wpadł do mnie Jasio, serdecznie uścisnął i rzekł, że chciał się zapewnić, czy się jeszcze na niego nie gniewam.

— Zresztą — dodał tajemniczo — już pan nie powinien się na mnie gniewać. Wczoraj nie wiedziałem nic i mówiłem ot tak, na wiatr, ale dziś, to co innego!

— Co ty wiesz? — zapytałem zadziwiony...

— Żeby pan wiedział, co tam u nas wczoraj się działo! Mama zamknęła wprawdzie drzwi od pokoju, gdzie z Edzią rozmawiała, ale ja słyszałem tyle, że już sam wiem, co myśleć... Edzia płakała. Słyszałem, jak szlochała i mówiła: „on by śmiał"... i już wiedziałem o kim mowa.

— Jasiu, co ty gadasz, co to ma znaczyć?

Chłopiec usłyszał bijącą ósmą godzinę i zerwał się prędko.

— To wiem, że pan się stara o moją siostrę i mama to wie, i Edzia, a ja byłem tak głupi!... Przebacz mi, drogi panie!

Znowu nastąpił uścisk, silniejszy niż poprzedni, i nim miałem czas się opamiętać, chłopiec wybiegł.

To coś bajecznego! Ja staram się o pannę Edzię? ona przecie sama, jak mi to wyznał Jasio, zawołała z oburzeniem: „on by śmiał!" i nie myliła się. Nie śmiałbym nigdy!

Nie namyślając się wiele, odprawiłem tak szybko moich pacyentów, jak tylko mogłem, i w godzinę już byłem gotów, by iść do pani Górskiej, usprawiedliwić się... Jednak... było jeszcze zawcześnie. Poszedłem do szpitala i zająłem się chorymi, chcąc sobie czas skrócić. Około jedenastej dopiero wszedłem do pani Górskiej.

Była sama w salonie; to mnie ośmieliło, że wkrótce przystąpiłem do rzeczy.

— Szanowna pani tak dla mnie zawsze życzliwa, — rzekłem mocno pomieszany, — że ośmielam się prosić o jedną łaskę...

— Życzliwą jestem szczerze — odrzekła bardzo łagodnie. — Znam pana nie od dawna, ale dość dobrze, aby wiedzieć, żeś na tę życzliwość zasłużył.

— Nieoceniona dobroć pani upokarza mnie — mówiłem, mieszając się coraz bardziej — chcąc zupełnie za-

służyć na względy pani, czuję się w obowiązku wyjaśnić sposób mego postępowania nie zawsze może stosowny. Kilka naraz okoliczności dało mi poznać tę niewłaściwość, która inaczej zrozumianą być mogła.

Pani Górska podała mi rękę.

— Postępowanie pana nie mogło być inaczej przez nas zrozumiane — rzekła drżącym nieco głosem. — Nieśmiałość twoja wrodzona usta ci krępowała... ale i to ocenić umieliśmy. Co do mnie — dodała czule — nic nie mam przeciw temu, bym cię synem nazwała... ale nie ja mam ostatnie wyrzec słowo. Edziu!... — zawołała.

Jak przez sen widziałem zbliżającą się Edzię... widziałem także, że była uśmiechniętą, że twarz jej pomimo pozoru wesołości, była dzisiaj poważna, nawet zaniepokojona, a rumieńce i bladość mieniły się na niej.

— Pan mi ma coś powiedzieć? — pytała cicho.

Głos ten przywiódł mnie do przytomności... pojąłem nagle moje niespodziewane szczęście, i nie wiedząc w mojej bezmiernej radości, jak się wziąć do niego, porwałem obie ręce Edzi, bezwiednie osunąłem się na kolana i mimowolnie także... łzy z moich oczu spłynęły na jej dłonie...

Edzia mnie kochała... Przewidziałem nagle i budząc się, jakby ze snu trapiącego, przekonałem się, że to nie lampa ciągnęła mnie do domu pani Górskiej... Kochałem Edzię, tęskniłem za nią, ale byłem tak nieśmiały, przyznać nie chciałem nawet przed samym sobą, że tam w sercu mojem uczucie jakieś zbudziło się do życia.

I byłbym naprawdę nigdy się nie odważył, gdyby nie zacna matka Edzi.

Dąb.

Nad zapadłą na stepie mogiłą,
Patryarcha drzew naszych, dąb stary.
Objął ziemię silnemi konary,
Jak Anteusz, jej krzepiąc się siłą.

Schylił barki garbate, omszone,
Zda się klęczy na grobie rycerza,
A gdy wicher powieje w tę stronę,
Z wichrem słychać szept jego pacierza.

Dąb się modli słowami cichemi
Jak pustelnik na stepie osiadły;
Na tych grobach, co tu się pokładły,
Za tych zmarłych, co leżą w tej ziemi.

Czasem tędy przelecą żórawie,
I odpoczną na cichej mogile:
Dąb się na nie popatrzy ciekawie,
I pogwarzy z ptakami przez chwilę.

Albo jaki z daleka wędrowiec,
Stanie przy nim i bada nieśmiało:
„Siwy Dębie, ach! powiedz mi, powiedz,
Co w tych stepach przed wieki się działo?"

A dąb głową omszałą zachwieje,
I zwyczajem starego gaduły,
Opowiada szeroko te dzieje,
Co przed wzrokiem się jego przesnuły.

Władysław Bełza.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 20 kwietnia 1118 poświęcenie kościoła katedralnego w Krakowie. — 1773 konferencya sejmowa zdrajcy Adama Ponińskiego. — 1831 bitwa pod Wiśniowem.

Dnia 21-go kwietnia 1450 Węgrzy obierają królem Władysława Jagiellończyka. — 1543 zaślubienie Elżbiety Austryaczki przez Zygmunta Augusta. — 1793 przywrócenie Rady nieustającej. — 1831 bitwy pod Kowganami i Kazimierzem.

Dnia 22-go kwietnia 1557 pożar w Sandomierzu. — 1607 odnowiony rokosz Zebrzydowskiego. — 1772 Moskale zagarniają Kraków. — 1793 otwarcie sejmu w Grodnie. — 1848 utarczka w Odolanowie i w Koźminie.

Dnia 23-go kwietnia 997 zabicie św. Wojciecha Porajczyka. — 1296 pierwszy wybór króla Władysława Łokietka. — 1432 sejm w Sieradzu zapewnia następstwo tronu Władysławowi III.

Dnia 24-go kwietnia 1221 ustanowienie biskupstwa w Rydze. — 1428 śmierć Jana Pełki, biskupa kujawskiego. — 1440 Władysław III. wchodzi do Węgier. — 1258 pożar w Krakowie. — 1587 Stefan Batory urządza mennicę. — 1831 bitwa w Wilejce. — 1831 okólnik wzywający Podole do powstania.

Dnia 25-go kwietnia 1333 koronacya Kazimierza W. — 1425 sejm w Brześciu zapewnia tron Władysławowi III. — 1438 konferencya w Korczynie przeciw kacerzom. — 1794 wywieszenie zdrajców w Wilnie. — 1848 zawiązek legionu polskiego wchodzi do Medyolanu.

Dnia 26-go kwietnia 1606 wjazd Maryny Mniszchówny do Moskwy. — 1771 bitwa pod Szreńskiem. Śmierć Sawy. — 1794 Moskwa zajmuje Kurlandyą. — 1795 trzeci rozbiór Polski. — 1848 zbombardowanie spokojnego Krakowa przez Austryaków.

Humor i satyra.

Rozczarowani.

Umierał znakomity doktór, przy łożu jego śmierci czuwało dzień i noc trzech jego kolegów. Widzą, że oczekuje śmierci bez obawy, głośno zaczęli ubolewać nad stratą, jaką przez jego zgon poniesie nauka.

— Moi drodzy, otrzyjcie łzy wasze, — odezwał się umierający, — choć ja odejdę, pustki w kraju moim nie będzie, bo pozostawiam w nim trzech znakomitych lekarzy.

Słysząc te słowa jego koledzy, zaczęli wpatrywać się w jego oczy, jakgdyby chcieli wyczytać, którego z nich zalicza do tej trójcy.

— Lekarzami tymi, — ciągnął on tymczasem dalej, — są: woda, ruch na świeżem powietrzu i dyeta.

* * *

Wróg małżeństwa.

— Wiesz co, Jan jechał wczoraj do ślubu, i na Alejach został w karecie aresztowany.

— A to dopiero spotkało go szczęście w nieszczęściu!

* * *

Łatwy sposób.

— Panno Waleryo, — mówił natrętny konkurent do znudzonej nim piękności, — życie bym oddał, gdybym mógł tylko panią uszczęśliwić.

— Nie potrzeba, aby ten cel osiągnąć ofiary tak wielkiej, — przestań pan tylko nudzić mnie swoją osobą a będę uszczęśliwioną.

* * *

Rozumowanie poety



Jak chętnie najadłbym się raz do sytości! Cóż kiedy umrę potem z głodu?!

* * *

Dodało mu odwagi.

Do Egiptu jedzie okręt, a na jego pokładzie mama z córką i starający się o jej rękę od lat pięciu adwokat, nie mogący się przecież zdobyć na oświadczyny.

Zamiary jego wyczuwa matka.

— Miej pan odwagę, panie Janie, a dojdziesz do upragnionego celu — odzywa się do niego. Moja córka jest tak otrzaskana z miłością, że oświadczenia mężczyzn przyjmuje nie tylko na lądzie, ale i na wodzie.

* * *

W duchu czasu.

— Moja Anielko, — mówi ojciec do doletniej i dobrze uświadomionej córki, — wczoraj oświadczyło ci się aż dwóch panów. Należy przecież jednego z nich wybrać, któregoż więc przekładasz?

— Myślę wyjść za mąż n a j p i e r w za pana Zygmunta, — odpowiada po krótkim namyśle córka.

* * *

Kto kogo ma?

— Czy pan masz żonę?

— Nie proszę pana, moja żona ma mnie.

* * *

Dobre serce.

— Gdyby nie ja mój Władku, — mówi przyjaciel do przyjaciela, — nie miałbyś do dnia dzisiejszego, przy swojej niezręczności do kobiet, żony. — Spodziewam się, że mi się czem za to wywzajemnisz.

— Mój drogi, wiesz przecież, że ja nie jestem mściwy.

* * *

W restauracyi.

G o ś ć z p s e m d o k e l n e r a: — Czy nie ma tam w kuchni nieco kości dla mojego pudla?

—Nie ma proszę pana, ale proszę zamówić dla siebie porcyę pieczeni wołowej, a będzie pan miał same kości.

* * *

Zawsze kupiec.

— Skazuję cię Icku na 3 tygodnie więzienia, za miesiąc masz się zgłosić do aresztu.

— Proszę pana sędziego, ja mógłbym i dziś iść pod klucz, gdyby mi pan sędzia jako rabat opuścił z parę dni z wymierzonej na mnie kary.

* * *

Ma słuszność.

— Czy wiesz o tem, mówiła panna Zofia do panny Anieli, pan Turski obchodził wczoraj złote wesele.

— Co też ty mówisz, przecież on się wczoraj dopiero ożenił.

— Tak jest, ale wziął za żonę tak duży posag, iż wesele jego nazwać można weselem złotem.

* * *

O czem pijak myśli?

— O czem ty myślisz? — pytał nałogowego pijaka ktoś z jego znajomych.

— O czem? o tem, aby gdy wytrzeźwieję, pójść do karczmy i znowu się upić.

* * *

Na ulicy.

— Czy mogę pani służyć parasolem?

—Wszak pan widzisz, że jestem zaopatrzona!

— Nic nie szkodzi, to może pani swój zamknąć.

Łamigłówka.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ Bartek z nad Warty.

○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○
○ ○ + ○ ○

ZNACZENIE WYRAZÓW:

Posiada żaglowiec.
Rzemieślnik.
Służy do pisania.
Inaczej błazen.
Kosmetyk.
Ptak.
Państwo w Europie.
Chluba Krakowa.
Miejsce widowisk cyrkowych
Inaczej zapis.
Okres czasu.

Krzyżyki i kółka należy zastąpić literami, aby powstały słowa wyżej podanego znaczenia. — Litery, oznaczone krzyżykami, utworzą znane hasło nasze.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 24-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej łamigłówki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwzania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie szarady z nr. 14-go:

S
Pan
Osman
Maraton
Katarzyna
Samarzewski
Agamemnon
Krawiec
Ibsen
Ski
i

Samarzewski.

Trafne rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 10-go kwietnia następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Wanda Malinowska, Wiktorya Ratajczak, Janek z pod Góry Przemysława, Halina Jahnke.

Z PROWINCYI: pp. Helena Marecka i Stefan Talarczyk z Kościana, K. Głębocki z Psarskiego w powiecie szamotulskim, Maryla Broniszówna z Otoczni w powiecie wrzesińskim, Suczka z Szemborowa w powiecie wrzesińskim, Dr. Żmidziński z Skalmierzyc

Z GALICYI: ks. J. Augustowicz z Moszczan.

Nagrodę otrzymali: pp. Wiktorya Ratajczak i Halina Jahnke z Poznania, Helena Marecka z Kościana, ks. J Augustowicz z Moszczan w Galicyi.

Nasz kącik.

IV. Zagadka historyczna.

Wre walka straszna... Chocież zwyciestw siła,
Na drugą stronę już się przechyliła,
Polacy wierni mimo wszystko byli,
Temu, co łudził — do ostatniej chwili.
Popłoch i nieład, wśród armat stukotu
Rozległ się rozkaz: „Armia do odwrotu,"
A, że Polacy na śmierć patrzą z wzgardą,
Zasłonić odwrót mieli piersią hardą.
Już przeszła armia, jako wielka sfora
I naszym odejść najwyższa już pora,
A w tem, huk straszny, cha, to most się wali,
Więc nasz bohater rzuca się w głąb fali.
Ach, czyliż zdoła przepłynąć szerz rzeki?
Znużony, ranny, a brzeg tak daleki;
Słania się z konia, krew z ran wodę plami,
Jeszcze się dźwiga i walczy z falami,
Woła: „Polaków honor mnie Bóg zwierzył,
Jemu go oddam..." Runął w głąb, już nie żyi...
Czyli wy znacie, wszystkie moje dziatki,
W bogatym dworze i wśród skromnej chatki,
Ty, miłe dziewczę, ty, drogie pacholę,
Tego, co wolał śmierć, niźli — niewolę?
Niech pamięć jego będzie drogą tobie,
A dziś mi powiedz, w jakim spoczął grobie,
Gdzie jego prochy śnią o lepszej doli?
I wiedz me dziecię, że właśnie w niewoli,
Godność Polaka trzeba czcić wysoko,
Niech nigdy fałszem nie zalśni ci oko,
Żaden czyn niski duszy niech nie brudzi
I za wzór w życiu bierz tych wielkich ludzi!

P. W.

Przygoda żabek.

Wrócił bociek z dalekiej podróży, co tak męczy i trudzi i nuży i sprowadza głód wielki, nad miarę. „Hejże, witam cię gniazdo me stare!" I ku stawom skierował swe oczy i poważnie, po zdobycz tam kroczy: „Takim głodny, zmęczony i słaby, a tam, pomnę, wyborne są żaby."

„Rade, rade!" Wnet zdala chór ich dzwoni przed nocą i — nie myśląc o wrogu, żabki sobie rechocą, lecz dojrzała go jedna i ze strachu zemdlała: „Ach, nie ruszaj mnie panie, patrzaj, jakam ja mała!" Chaps, już bociek ją połknął z apetytem i smakiem, lecz się jeszcze nie najadł takim jednym przysmakiem.

„Rade, rade!" Tak nad czemś radzi żabie zebranie, a w tem popłoch: „Pan bocian! Ach, litości nasz panie!" Jedna woła: Spójrz proszę, jakam szpetna i słaba, pewnie ze mnie niesmaczna i niezdrowa jest żaba. Inna martwą udaje, plackiem do nóg mu pada i tak leży bez ruchu, wylękniona i blada. Inna błaga: „Ach, życie daruj mi dziś bocianie, raczej rano tu przybądź i schrup mnie na śniadanie!" Bociek zda się nie słucha, kroczy dalej, a dalej, przed żarłokiem żab biednych już nic dziś nie ocali. Wreszcie syty spogląda na obłoki przeczyste: „Smaczna była wieczerza, dobre było pieczyste!" I pan bociek rad bardzo dziś z pierwszego połowu, obiecuje już sobie: „Przyjdę jutro tu znowu!" Bociek odszedł. Wśród żabek lament, skargi i żale. „Rade, rade," oj smutno płynie teraz nad fale i od stawu do stawu głos drży



Najstarszy „Skowronek" z Liska, uczeń gimnazyalny z Sanoka w Galicyi, najpilniej wypełniający wszystkie wady i wskazówki „Kącika."

cichą przestrogą: „Bocian wrócił, więc baczność i nie skakać nad drogą!" Już wśród stawów czuwają żabie straże i czaty, hejże boćku, podobno będziesz teraz miał straty, alеć trudno, każdemu własne życie jest miłe, aby strzegł je, sam Pan Bóg dał mu rozum i siłę.

P. W.

Odpowiedzi i parę słówek.

Nieznajomej stokrotnie dziękuję za znaczną ilość znaczków. Gołąbka z Palczyny i Jaskółka z niewoli. Chętnie cię Gołąbko do naszej gromadki przyjmuję i zaraz rady udzielam. Nowy kurs w Orłowej rozpoczyna się 15. października. Panienki przyjmują po skończonym 16-tym roku. Adres: Wna F. Szczerbińska Mikołów. (Nicolai O. S.) Śląsk austryacki. Widzisz więc Jaskółeczko, że ty obecnie jesteś jeszcze za młodą, aby do O. jechać, ale bardzo mi się twój projekt podoba; za znaczki serdecznie dziękuję. Lilijka. Berlin. Dziękuję ci drogie dziewczątko, że mi tak ładnie opisałaś dzień pierwszej komunii św. Cieszę się, że nie dałaś się wciągnąć do tych obcych towarzystw. Niech cię Pan Bóg zawsze wspiera i dopomaga! Rozwiązanie zagadek dobre, pilne z ciebie stworzonko, iż nawet nie spodziewając się nagrody piszesz wypracowania. Mysia Skąpska. Gąsawa. Ucieszyłam się bardzo z dobrej wiadomości. Prawda, jak to miło w serduszku, gdy się ręki przyłoży do dobrego uczynku? Jestem pewną, że chociaż małą jesteś dziewczynka, lecz, gdy raz weszłaś na tę drogę, stale postępować nią będziesz. Niech ci Pan Bóg błogosławi! Trójka. Osieczna. Nie małą radość sprawiają mi słowa wdzięcznego uznania moich miłych dziatek, ale trochę się pomyliłaś ty, moja najstarsza z grona Trójki. Nie zasłużyłam sobie jeszcze na miano matki mych czytelników. Jam tylko waszą doradczynią i przyjaciółką, a każde z was, ma trzy Matki: Kościół św. Ojczyznę i tę, która od samej kolebki czuwa nad wami i życie za was oddać gotowa, czcijcie i kochajcie te trzy Matki nadewszystko! Sokół z nad Czarnej Wody. Czy ci mój chłopaczku serduszka czasem nie zraniłam? Ogromnie by mi to było przykro. Ciągle jeszcze myślę, czy by nie można umieścić choć części twojego do współczytelników liściku, boć czuję, iż pisałeś go z myślą, aby mnie zrobić przyjemność! Stokrotnie ci za to dziękuję! Gdy obecny „Kącik" czytać będziecie, ja już od kilku dni będę na wsi: (Myjomice p. Domanin Kr. Kempen) tak nagle wyjazd mój postanowiony został, iż nie zdążyłam was wcześniej uprzedzić i obawiam się, czy z tego powodu liściki wasze rąk moich dojdą. Na wsi zabawię parę tygodni, więc teraz pisujcie pod wyżej podanym adresem. „Co się odwlecze, to nie uciecze" mówi przysłowie, więc jeśli z powodu mojej nieobecności w Poznaniu umieszczenie waszych podobizn w „Kąciku," ulegnie zwłoce, nie miejcie o to do mnie żalu, moje najdroższe pociechy! Z Bogiem, z Bogiem moje małe, średnie i duże dzieci najdroższe, tulę was do serca i czółka całuję. Kochająca przyjaciółka **P. W.**

Złota kroniczka.

Jakaż szkoda i wstyd dla chłopców, że tym razem na tej kartce zapisać mogę tylko czyny dziewczynek! Oto dwie panienki, jedna mieszkająca w małem miasteczku, druga w wiejskim dworze, zgromadzają kilkoro dzieci i uczą je czytać i pisać. Oto znów inne dwie małe siostrzyczki ze dworu, łączą się z rówieśniczkami swemi z chat wieśniaczych, wspólnie się bawią i śpiewają i są im przykładem wspólnej miłości i zgody. Oto znów małe dziewczątko, ledwie się pisać nauczyło, już liściki z prośbą pisało i wyrobiło wsparcie dla chorego staruszka - weterana z 1863 r. A teraz dobry uczynek innego rodzaju: Idzie niewidoma staruszka i nie może trafić do kościoła, podbiega maleństwo, bierze ją za rękę i prowadzi. Niech Pan Bóg wszystkim dziewczątkom nagrodzi, a te dobre uczynki niech wiodą za sobą dużo, dużo innych!

Czarna kroniczka.

Tam świeciły czyny jasne dziewczątek, tu niestety, czarną plamą padną postępki chłopców, wśród których, o zgrozo, jest także panieneczka. Czy pamiętacie z poprzedniej „Złotej kroniczki" owego chłopca, którego przemocą wciągali koledzy do obcego narożnego składu łakoci? O, nieszczęsny narożnik, już go miałam ominąć, w tem, znajomy, trzynastolatek, wyjadając karmelki z torebki, wychodzi stamtąd! Spojrzał na mnie, poczerwieniał jak burak, nie ukłonił się i w nogi, w boczną ulicę. Oj, chyba ze wstydu karmelek gorzko mu zasmakował... I znowu z innego składu, zapychając buzie słodyczami, wyszła dziewczynka, z młodszym braciszkiem. Dogoniłam ich, karcąc i napominając. Dziewczynka obojętnie wzruszyła ramionami, a chłopczyk się poskarżył: „Ja chciałem iść do naszego składu, ale ona tu mnie za sobą pociągła!" Oj, dzieci, poprawcie się, bo inaczej nasz naród nie doczeka się z was pociechy, a przecież ty, młodzieży nadzieją naszą jesteś... — **P. W.**

Wiktor Gomulicki

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

57)

(Ciąg dalszy.)

Na ogromnej rozciągłej przestrzeni, wzdłuż gościńca i po obu jego bokach, leżały trupy polskich rycerzy, pospołu z francuskiemi i rosyjskiemi. Ostatnich było najwięcej. Ilością znacznie górowały nad polskiemi. Mogło to być pociechą, lecz tylko dla Napoleona. Książę Józef pociechy szukał w czem innem. Dostarczała mu jej myśl, tak wymownie wyrażona niedawno przez Wybickiego: „Azali Bóg może nie być jeszcze sytym cierpień naszych i wymierzonej nam kary?"

Ta jeno myśl sprawiała, że bez płaczu głośnego i bluźnierstwa patrzeć mógł na wąsate, szlachetne poczciwe Mazurów twarze, mrozem śmierci ścięte, na szeroko rozwarte szkliste oczy, zwrócone ku niebu ze skargą i wymówką...

I on, tak samo, jak Napoleon, wobec zgrozy pobojowiska, spokojnym się wydawał, różne wszakże były u tych dwóch bohaterów spokoju owego źródła.

Cesarz wzruszenia nie okazywał, gdyż go nie czuł; skierowaniem ducha ku Bogu i Ojczyźnie władzę nad wzruszeniem zdobywał.

W poważnem milczeniu, mając przy sobie swych adjutantów: Potockiego i Mroczka, objeżdżał Poniatowski zdobyte pozycye.

Polacy, choć śmiertelnie znużeni, ostatek sił poświęcali na zadość uczynienie chrześcijańskim i patryotycznym obowiązkom. Braci poległych z pola śmierci unosili; ranionym nieśli pomoc lekarską i chirurgiczną; do konających sprowadzali kapłanów, aby ich z Bogiem jednali.

Książę co chwil parę zatrzymywać się musiał, aby odpowiedzieć to słowem ciepłem, to uściskiem dłoni, to choćby ukłonem żołnierskim na zwracane ku niemu głosy czci, posłuszeństwa i bezgranicznego uwielbienia.

Z zadziwiającym spokojem, z rezygnacyą, niemal z pogodą, pierwszych męczenników chrześcijańskich przypominającą, umierali Polacy. — Ostatnie ich słowa brzmiały najczęściej:

— Niech żyje książę wódz!

Niektórzy prosili, żeby ich twarzą na zachód, w stronę ojczyzny obrócono, i z błogim, anielskim uśmiechem życie kończyli.

Niektórzy, już w malignie przedśmiertnej, wydawali księciu zlecenia, dotyczące stosunków rodzinnych, gospodarskich, warsztatowych. Za ojca go mieli, za opiekuna.

— A babie mojej — żądał jeden — powiedz książe wodzu, że głupia byłaby, żeby się moją śmiercią frasowała. Niech czasu nie mitręży i duchem kulawego Wojciecha z Lisiej Wólki za męża pojmie. Dobry to gospodarz, i dobytek przy nim nie zmarnieje. A że kalika, to chwała Bogu: na wojaczkę nie pójdzie...

Inny upominał:

— Stachulowi mojemu przykaż książę wodzu: jak jeno dorośnie, wszystko niech rzuca i do wojska masieruje. Chyba, żeby Matka Boska sprawiła już na świecie rzetelny porządek....

Jedzie książę coraz poważniejszy i uroczystszy, coraz głębiej w milczeniu i w myślach pogrążony. Adjutanci, o kilka kroków za nim, porozumiewają się szeptem; głosu żaden podnieść się nie odważy. Jadą brzegiem rzadkiego lasu, mimowoli wzrokiem go przezierając.

Nagle książę konia ściągnął, na miejscu osadził. Uczynili toż samo adjutanci.

Wszyscy patrzą w las — czegoś wielce ciekawi, czemś wielce zdumieni.

W odległości kilkunastu kroków ujrzeli porucznika Zefiryna, o drzewo opartego. Porucznik w miejscu stoi, cokolwiek się w jedną stronę pochyliwszy. W ręce trzyma chusteczkę, do lewej piersi ją przyciska.

Krzyknął nań książę po imieniu i po nazwisku. „Zefirkiem" nazwał go nawet poufale, po przyjacielsku. Tamten ani odzywa się, ani porusza.

I księciu i jego towarzyszom stało się czegoś markotno. Choć nie porozumieli się słowem, ani spojrzeniem, wszyscy powzięli jednocześnie toż samo postanowienie. Z koni zsiedli, w las poszli.

Im bliżej są Zefiryna, tem większe ogarnia ich zdumienie.

Piękny oficer stoi na małej polance, wsparty plecami o pień dużego drzewa, nieco na lewy bok przegięty. W prawej ręce trzyma obnażoną szablę; w lewej, której łokiec wsparł na nizko wyrastającej gałęzi — batystową, do piersi przyciśniętą chusteczkę. Chusteczka czerwona jest od krwi. Na wytwornym, gładko opiętym mundurze, w okolicy serca, widać również krwawe, stężałe krople.

Na kredowo bladej twarzy zastygł wyraz gniewu, dumy i szlachetnego oburzenia.

O kilka kroków przed porucznikiem, wśród gęstej, zdeptanej trawy leżą trupy trzech rosyjskich grenadyerów.

Zrozumieli przybysze, co się tu święci. Ukłon wojskowy składają mężnemu towarzyszowi; potem modlitwę krótką szepcą. Ale na wojnie czasu na sentymenty niema. Wnet opanowali wzruszenie, spostrzeżeniami się dzielą.

Pierwszy przemówił książę:

— Trzech zmiótł... — na leżących wskazał. — To jego zwykła porcya.

— Zauważyć racz, mości książę — rzekł Potocki — że trzymał ich w oddaleniu...

Mroczek poprawił:

— W przyzwoitem, pełnem uszanowania oddaleniu.

— W przyzwoitem, pełnem uszanowania oddaleniu... — powtórzył tamten. — Nie dopuścił, jak zawsze, by ręka bez rękawiczki piersi jego dotknęła...

Poetyczny Mroczek z nową wystąpił poprawką:

— Jego polskiego, oficerskiego munduru, który jest świętością!

— Dosięgła go kula — po chwili milczenia ozwał się książę, zlekka piersi przyjaciela dotykając. — Błogosławiona kula, bo ugodziwszy w samo serce, cierpień mu oszczędziła.

— Jeśli pochylił się — znów zabrał głos Mroczek — to z pewnością nie przed widmem śmierci. On mu zawsze wyniosłą okazywał wzgardę. Ale do końca pozostać chciał galantem i ostatnich chwil kilku użył na wytarcie plamy z munduru. Bo mundur polskiego oficera splamiony być nie może.

W Potockim obudził się Warszawianin.

— Warszawskie piękności — z niedostrzeżonym odcieniem ironii szepnął — lament wielki podniosą...

Gdy towarzysze nic na to nie rzekli, dodał jeszcze:

— Pierwsza hrabina Cho...

Piorunujące spojrzenie księcia zamknęło mu usta.

— Wiem — rzekł książę — że porucznik Zefiryn nosił przy sobie zawsze portfel z listami. Rozkazuję, przed pogrzebaniem ciała, wszystkie listy, nie czytając, spalić.

— Porucznik — zauważył Potocki — nosił także na piersiach, pod mundurem, liczne kokardy z kolorowych wstążek...

— Pochować go wraz z niemi! — rzucił chmurno książę.

Nadszedł lekarz pułkowy dla stwierdzenia zgonu: zbierać się zaczęli najbliżsi poległego koledzy. Zawezwano grabarzy...

Książę szepnął: „Wieczny odpoczynek", ręką posłał młodemu przyjacielowi ostatnie pożegnanie, wykonał energiczny obrót w prawo i opuścił miejsce żałobne. Po chwili siedział już na koniu i w towarzystwie adjutantów dalej odbywał swój smutny przegląd. Milczący, poważny, uroczysty, nie tracił jednak na chwilę postawy rycerskiej i potrzebnego wodzowi wyniosłego, stanowczości pełnego wyrazu.

Nie ujechali jeszcze stu kroków, gdy drogę zagrodził im tłum żołnierstwa, kupiący się przy noszach z rannym czy też zabitym oficerem. Rozstępować się zaczęto przed księciem, on jednak wszakże do samych noszów zbliżać się nie chciał. Dość już miał strasznych obrazów i wzruszeń bolesnych — czuł, że serce przepełnia mu się smutkiem i że jedno jeszcze wstrząśnienie, a — po wojskowemu mówiąc — „wyjdzie z formy".

Chciał jednak wiedzieć, co zaszło, zbiegowisko bowiem świadczyło o czemś niezwykłem.

— Kto na noszach? — zwrócił się z pytaniem do wywołanego z tłumu oficera.

— Kapitan Dunquerque z drugiego pułku woltyżerów, do usług waszej książęcej mości — objaśniał oficer, salutując.

— Raniony? zabity?

— Raniony... Ale teraz już i zabity.

Książę brwi ściągnął.

— Mów jaśniej — rozkazał.

— Powiedziałem już mości książe, wodzu i generale. Przed pięciu minutami kapitan Dunquerque był tylko raniony; od pięciu minut jest już zabity.

— Przez kogo?

— Sam się zabił.

— Rozmyślnie?

— Tak!

Twarz księcia zapłonęła strasznym gniewem; w oczach błysnął płomień złowrogi. Samobójstwo żołnierza na wojnie wydawało mu się najhaniebniejszą zdradą.

Zażądał energicznie szczegółów

Oficer pośpieszył ze złożeniem raportu.

Kapitan Dunquerque otrzymał ciężki postrzał w lewe płuco. Zaraz na miejscu wykonano operacyę wyjęcia kuli, którą wytrzymał mężnie, lecz z upływu krwi omdlał. Zemdlonego ułożono na noszach i odesłano do szpitala polowego. W drodze odzyskał przytomność, kazał niosącym stanąć i zawezwał jednego z kolegów. Sił mu brakło do dłuższej rozmowy — z przybyłym przeprowadził tylko krótki dyalog.

— Kapitan Koss?

— Poległ — odpowiedziano.

— Porucznik Jabłoński?

— Zabity.

— B[illegible]! — oświadczył Dunqerque spokojnie i zamyślił się.

Po chwili ujrzano ze zdziwieniem, że mimo krępujących go bandażów, unosi się cokolwiek i bystrem spojrzeniem obrzuca obecnych.

— Słuchajcie! — wyrzekł głosem, który nagle nabral wielkiej mocy. — Do was się zwracam, towarzysze z drugiego pułku woltyżerów.. Wiadomo wam wszystkim, że prócz mnie, dwóch tylko w naszym pułku było tęgich kontredansistów: Koss i Jabłoński. Zawsześmy sobie wzajem za vis-à-vis służyli; żaden bez dwóch innych do kontredansa by nie stanął. W tej chwili i Koss i Jabłoński znajdują się na dolinie Józefata — i może odzywa się tam już przegrywka kondredansowa...

Na bladej twarzy kapitana zaigrał przy tych słowach wesoły, salonowy uśmiech. Z ust jego wybiegła cicha, drżąca melodya modnego kontredansa...

—A więc — głośno krzyknął — Kossie! Jabłoński!... Idę do was... Na vis-à-vis staję... Tańczmy!... tańczmy!...

Silnem szarpnięciem zerwał z piersi bandaż. Krew otwartą raną buchnęła. W minutę później już nie żył.

Wysłuchał książę opowieści: długo zżymał się, chmurzył, wąsa przygryzał. W sumieniu swem ważył sprawę, która była i ciężka i zawiła. Do adjutantów się zwrócił, chcąc na ich twarzach wyczytać, co o niej sądzą. Ale oni również byli niepewni i pytająco na swego wodza patrzyli.

— Zawinił... — mruknął książę markotnie, jakby na samego siebie gniewny. — Samobójstwo to tyleż prawie, co dezercya... Polak nie cofa się przed śmiercią, jakże mu cofać się przed życiem?... I jeszcze w takiej chwili, gdy życie jest skarbem, za który kupić można niezależność!

Tknęła go nowa myśl. Podniósł głowę, twarz mu się rozjaśniła.

— Jednak była w tem tężyzna... — nieco weselej wyrzekł. — Armia Księstwa Warszawskiego cała jest taka... Może to idzie trochę od jej wodza?... Bohaterstwu to zresztą nie wadzi — nie inni byli Francuzi za Ludwika XIV., za Richelieu'go... Przytem ten biedny oficer wiedział, że będzie kaleką, że już mu z pola zwycięstw zejść wypadnie, że skazany jest na rolę biernego, bezczynnego świadka...

Zwrócił się do towarzyszów z twarzą zupełnie już jasną.

— A więc moi panowie... — rzekł i zaciął się.

Wyciągnęli wszyscy szyję, natężyli uwagę.

—A więc — głosem stanowczym oznajmił — kapitana Dunquerque'a z honorami pochować wojskowemi!

Nie chciał już książę posuwać się dalej. Od Napoleona wieści nie miał, a był ich ciekawy — czekał na nie. Oznajmił towarzyszom chęć powrotu, i wszyscy udali się w stronę Uticzy.

W drodze powrotnej rozmowniejszy się stał, z Potockim nawet żwawą zawiązał gawędę.

Prawda, że bitwa była krwawa, strat doznano ciężkich i dotkliwych — dobry wszakże wódz nie liczy strat, jeno zwycięstwa. A zwycięstwo odniesione świetne.

W rozmowie, która z każdą chwilą stawała się głośniejsza, żadnego udziału nie brał Mroczek. Od pewnego czasu dziwnie on się zachowywał. Podniecony był, niespokojny, z widomym wysiłkiem uczucia swe hamujący.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

17

(Ciąg dalszy.)

— Motor mieli doskonały i tak przebiegali w szybkim pędzie koło prześlicznych will, namiotów malowniczych, dających zupełne złudzenie Szwajcaryi.

Przy powrocie Sylwia nieumyślnie wpomniała o przejażdżkach konnych z hrabią, co bardzo zasępiło adwokata.

— Więc co rano wyjeżdżasz z nimi?

— Prawie każdego dnia. Jego siostra pożyczyła mi konia i amazonkę — wyświadczyła mi grzeczność — tu Sylwia zarumieniła się gwałtownie.

Chester nabrał teraz pewności, że hrabia podobał się Sylwii bardzo, ale miałaby myśleć naprawdę o zamążpójściu za tego kartownika, gracza (pani Wachner zdołała Chestera objaśnić już pod tym względem) nie to niepodobna!

— Sylwio — rzekł z wyrzutem — posłuchaj mnie i nie gniewaj się — jeżeli moje przypuszczenia, podejrzenia są bezpodstawne, przepraszam się z całego serca.

Sylwia powstała i dotknęła ramienia szofera — proszę jechać wolniej — rzekła.

— Czy to możliwe, żebyś myślała o poślubieniu tego Francuza?

— Nie — rzekła Sylwia. — Nie myślę o tem. Ale on jest moim przyjacielem. Lubię go i — poważam. Nie Billu nie potrzebuje pan się obawiać, on nigdy nie miał zamiaru ożenić się zemną.

— A gdyby miał?

— Pan nie ma prawa pytać mnie o to — rzekła z pasyą, a potem dodała cicho — ale gdyby miał zamiar, odpowiedziałabym, że nie.

Oczy miała pełne łez. W duszy Chestra powstały sprzeczne uczucia — żal mu było Sylwii — ten Francuz zdobył jej serce, począł go nienawidzić.

Nagle w dali ukazał się „Namiot konwalii," a po chwili motor zatrzymał się przed furtką.

Pani Wachner wybiegła na spotkanie. Chester patrzył ze zdziwieniem na willę, nigdy nic podobnego nie widział, jasno-ceglasty kolor i te bez gustu malatury. Niemile dotknął go jednak zaniedbany ogród. Zupełnie w innem otoczeniu wyobrażał sobie państwa Wachner.

— Pan się dziwi nad zaniedbanym ogrodem — rzekła pani Wachner — to nie nasza wina, lecz właściciela. Obiecał uprawić go, ale słowa nie dotrzymał.

— Dziwiłam się zawsze — rzekła Sylwia — dlaczego ogród jest w takim stanie, teraz rozumiem; nieporządny człowiek musi być właściciel — ale państwo trawę ścięli, dawniej była tu bardzo wysoka trawa.

— Tak jest, Fryc życzył sobie.

— Ostatnim razem, kiedy tu byłam, poszłam nawet do małego lasku — myślę, że pani już o tem mówiłam, że niedawno byłam tu i oczekiwałam powrotu państwa z Paryża.

— Była pani w lasku — rzekła pani Wachner przerażona. — Nam nie wolno chodzić tam dotąd — właściciel zakazał surowo.

Przyjaciel Fryc witał gości przed drzwiami i rozpoczął zaraz rozmowę z panem Chester.

—Niech pani nie nakrywa w salonie — rzekł tenże — wolimy herbatę wypić tutaj.

Sylwię bawiły przygotowania pani Wachner. Na stole stał bukiet róż, na dwóch talerzach rozmaite ciasteczka, a nawet truskawki z bitą śmietaną.

Gościnni ludzie doprawdy byli państwo Wachner.

— A teraz przygotujemy herbatę — rzekła pani Wachner — obie ze Sylwią udały się do kuchni, gdzie wkrótce zastawiono wodę.

— Spędziłam bardzo przyjemny czas dzisiaj — rzekła Sylwia — czuję się zawsze wdzięczną pani za jej dobroć dla mnie i dla biednej Anny — tak często myślę o niej, gdzie ona mieszka w Paryżu?

— O tego się pewnie nigdy nie dowiemy — pani przyjaciółka była bardzo oryginalna — samotnica — nie lubiła grać, skoro znajomi patrzeli — a co teraz robi, nie mogę sobie wyobrazić.

— Wie pani, że telegrafowała po rzeczy? — W takim razie wyjeżdża pewnie, lub jest w drodze do Aix, albo Monte Carlo. Powietrze jej było ostatecznie obojętne, byle grać mogła.

Pani Wachner skończyła teraz przygotowania do herbaty, przez chwilę patrzyła zamyślona przez okno.

— Nie przypuszczam, żeby pani kiedykolwiek jeszcze spotkała się z panią Wolską — bo musi się ona bardzo wstydzić, że się obeszła w taki sposób z tak dobrą dla niej osobą.

— Ona była lepsza dla mnie, niż ja dla niej. — Ach moja droga pani ma takie wdzięczne serce. Nie, Anna nie potrafiła ocenić panią. — No, ale herbata gotowa. Idźmy, panowie nudzą się bez pani.

Wieczór przeszedł bardzo przyjemnie — pani Wachner obserwowała zamyślone oblicze adwokata, było to możliwe, aby miał naprawdę zabrać piękną panią Bailey z Lacville? Byłaby to szkoda, wielka szkoda.

ROZDZIAŁ XXII.

Hrabia nie wrócił, Sylwia oczekiwała go z upragnieniem co dnia, ale napróżno. Pytała się nawet pana Polperro, ale nie wiedział o dniu jego powrotu.

Mimo wizyty gościa z Anglii przebywała więcej z Wachnerami, niż kiedykolwiek. Chodzili wspólnie na przechadzki, obiady, śniadania.

Chester zdawał się bawić w ich towarzystwie, a Sylwii, gdy nie było Pawła, było jeszcze przyjemniej, że Wachnerowie pomagają jej bawić adwokata, który jej był dziwnie obcy i daleki.

A Paweł nie wracał, mimo, że dzień za dniem przechodził.

Pewnego wieczoru wybrali się do kasyna w czwórkę. Sylwia i Wachnerowie z przyzwyczajenia dla Chestera, nie chcąc psuć zabawy.

Sale kasyna były bardziej przepełnione niż kiedykolwiek. Gęste tłumy oblegały stoły. Ku wielkiemu zdziwieniu Sylwia spostrzegła Pawła, który trzymał bank. Musiał więc wrócić co dopiero. Sylwii serce przepełniło się goryczą. Smutne jej rozmyślania przerwał pan Wachner, mówiąc niespodzianie:

— Dziś pani musi grać — dziś pani będzie miała szczęście.

Słowa jego przypomniały jej Annę.

— Czy przypomina sobie pan, jak biedna Anna podczas ostatniego wieczoru wesołą była? zapytała.

Pan Wachner spojrzał na nią nieprzytomnie. Wyraz przerażenia i strachu ukazał się na jego twarzy.

— Niech pani o niej nie mówi — krzyknął prawie — ona przyniesie nam nieszczęście.

— Graj Sylwio — rzekł Chester — nie chcąc, aby była krępowana jego obecnością.

Sylwia miała doprawdy szczęście niezwykłe, jakąbądź kartę podniosła, wygrywała. Inni, stawiający za jej przykładem, wygrywali także. W krótkim czasie wygrała ośmset funtów.

Mimo zajęcia się grą, obserwowała bacznie Pawła, który wyglądał zmęczony, zmieniony prawie.

Po niejakim czasie Sylwia odsunęła krzesło — miała dosyć gry.

— Jeśli pani pójdzie, zabierze szczęście ze sobą — rozległ się niezadowolony szept wokoło.

Chester patrzał na nią niezadowolonemi, sarkastycznemi oczyma.

— Teraz nie dziwię się, czemu lubisz grę? Czy często wygrywasz podobnie? Ile pieniędzy biednym ludziom odebrałaś?

— Dziewięćdziesiąt funtów.

— A przegrałaś też kiedy tyle? zapytał ironicznie.

— Nie, najwięcej przegrałam dziesięć funtów — wtedy zawsze opuszczałam salę. Ten jeden awantaż ma grający nad bankierem.

— O tak widzę!

Potem milczeli — dochodziła ich tylko głośna sprzeczka między panem Wachnerem i małżonką.

— Mówię ci, że nie odejdę — mówił pan Wachner z furyą. — Czuję, że tego wieczoru mam szczęście. Zostaw mnie, idź sobie. Wygrałem tysiąc funtów, nareszcie mam sposobność wypróbować swój system. Jestem zdecydowany uczynić to tego wieczoru. Nie potrzebujesz do mnie nic mówić o przyrzeczeniach; jeśli je uczyniłem, dziś łamię.

Sylwia patrzała zdziwiona. Pani Wachner była czerwieńsza niż zazwyczaj, ale zobaczywszy, że zwracają na nich uwagę, rzekła:

— Bardzo dobrze — nie mów do mnie jak gdybym była tyranem, lub ludożercą. Jako twoja żona, muszę cię słuchać. Ale nie chcę przypatrywać się, jak będziesz tracił pieniądze.

Tu wzięła Sylwię pod rękę i wyszły w towarzystwie adwokata.

Gdy znaleźli się w innej sali, rzekła pani Wachner:

— Szkoda, że Fryc nie szedł z nami. Wygrał tysiąc franków — dla nas to wielka różnica wygrać, czy przegrać tyle pieniędzy. Nie wierzę, żeby miał je zatrzymać, z hrabią zawsze ma nieszczęście, a hrabia trzyma bank.

— Może hrabia przestał być bankierem? — O niech pani tego nie mówi — słyszałam od pana Polperro, że otrzymał sukcesyę, więc nie będzie miał spokoju, dopóki wszystkiego nie przegra, jednakże my nie będziemy mieli z tego korzyści.

Ale, że pan też nie zaryzykował — zwróciła się do Chestra — powiezie pan dużo pieniędzy z powrotem do Anglii.

— Albo stracę w Szwajcaryi, dokąd wyjeżdżam pojutrze.

— I nie wróci pan więcej?

— Wrócę, jeśli zastanę panią Bailey, ale jej pewno już nie będzie tutaj, najmniej dwa tygodnie zabawię w Szwajcaryi.

— Dobranoc Sylwio — no, nie zazdroszczę ci twoich źle zarobionych pieniędzy.

Mówił niby żartem, ale Sylwia wyczuła zarzut.

— Dobranoc — rzekła, a głos jej drżał. Była dziwnie rozstrojoną tego wieczoru, jakże hrabia mógł ryzykować pieniądze po chrzestnej. Nienawidziła siebie, że się przyczyniła do jego przegranej. Było to coprawda głupstwem, bo każdy inny mógł tak samo wygrać.

— Czy wolno panią do domu odprowadzić? spytał Chester panią Wachner.

— O nie, muszę zobaczyć co Fryc robi. Niech pan idzie sam do pensyonatu.

— Pomogę pani, namówić męża do opuszczenia kasyna, we dwóch łatwiej.

Gdy weszli do sal gry, dowiedzieli się na wstępie, że bankier ma dużo szczęścia.

Pani Wachner odgadła prawdę. Fryc przegrał wszystko.

— Jakże — zapytała ostro — przegrałeś?

— Nie miałem szczęścia — to ten głupi system.

Chester spojrzał na panią Wachner, lecz ta odrzekła spokojnie.

— Nie można tego zmienić. Wiedziałam z góry, że tak będzie. Czy schowałeś przynajmniej 100 fr., które ci dałam poprzednio?

Pan Wachner zaprzeczył.

— No więc pójdziemy do domu — dobranoc panu, panie Chester.

ROZDZIAŁ XXIII.

Gdy Sylwia poszła do swego pokoju we willi do Lac, uczuła dziwny zamęt w głowie.

Po raz pierwszy zamknęła drzwi na klucz i siedziała w ciemności.

Przepełniona była uczuciem upokorzenia. Mówiła sobie w duszy, że hrabia wcale o nią nie dbał. Nie byłby tego nigdy uczynił co dzisiaj.

Prędko powstała i zapaliła światło. Wzięła bilet wizytowy i nakreśliła następujące słowa:

„Łaskawy Panie!

Czuję się bardzo zmęczoną dzisiaj, myślę, że nie będę dosyć silną jutro, aby módz konno wyjechać.

Sylwia Bailey."

Postanowiła podczas ostatnich dni swego pobytu w Lacville mieć jak najmniej styczności z Pawłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W płomieniach.

16) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

Coquenil milczał — w tejże bowiem chwili odezwał się jeden z gości:

— Jedźmy lepiej do domu, Robercie!

— Tak, — odrzekł ktoś, — bardzo tu dziś nudno.

I zaraz potem znikło całe towarzystwo.

A Coquenil siedział nieruchomy przy swym psie i myślał o tem, że Nellie przeczuwała grożące mu niebezpieczeństwo!

ROZDZIAŁ XVI.

Detektyw musi walczyć jak żołnierz i odgrywać rozmaite role jak aktor, musi śmiać się, gdy serce mu się krwawi i udawać smutnego, gdy z radości głośno by śpiewać pragnął.

Coquenil bolał ciężko nad utratą swego psa. Zdawało mu się, że stracił najlepszego, najwierniejszego przyjaciela, i nie mógł sobie darować, że pomimo przestrogi Nellie zabrał go z sobą na wczorajszą wycieczkę. Ale przemocą stłumił żal i z całą energią zabrał się do pracy. Morderca powinien być oddanym w ręce sprawiedliwości i chwila stanowcza zbliżała się szybko.

Coquenil wątpił aż do ostatniej chwili o tem, że Groener przyjdzie na oznaczony dzień do Bonneta. Gdyby jednak przybył, musiałby wpaść w zastawione na niego sidła, i wtedy postarałby się Coquenil już o to, aby się nigdy z nich nie zdołał wydobyć.

Ale snycerz dotrzymał słowa. Nie tylko, że przyjechał, ale nadto w doskonałym był humorze, skinął uprzejmie głową nowemu pomocnikowi Banneta, Mateuszowi, i zabrał się z wybornym apetytem do śniadania. Pan Groener był mężczyzną średniego wzrostu, silnie zbudoawnym o okrągłej, gładkiej, czerstwej twarzy i jasnych, wesołych oczach. Gęste włosy i krótko przystrzyżona broda były jeszcze zupełnie ciemne, wąs natomiast zdawał się być nieco jaśniejszym. Ubrany jak każdy rzemieślnik, w wełnianej koszuli i granatowym, tu i owdzie poplamionym surducie, miał grube skórzane buty o podwójnych podeszwach, pokryte zawsze warstwą pyłu. Czerwone, bardzo duże ręce nie zupełnie były czyste i paznokcie połamane zdradzały od razu jego zawód snycerza. Wiek jego trudno było określić, lecz więcej jak lat czterdzieści nie mógł mieć w żadnym razie.

Podczas śniadania rozmawiał żywo i wesoło, zwracając się raz po raz do Coquenila. Opowiadał o świetnych interesach, o licznych zamówieniach, jakie otrzymał, i śmiał się serdecznie z handlarzy rzeczy starożytnych, których tak łatwo można oszukać podrobionemi, nowemi szafami i skrzyniami.

— Byleby je kupili od flamandzkich wieśniaków — mówił — to im wystarcza!

Mateusz słuchał i śmiał się także, a gdy pani Bonnet przyniosła kawę, zapytał skromnie i grzecznie pana Groenera, czy nie zna jakiego warsztatu snyreskiego, w którym potrzebowanoby pomocnika.

— Jestem silny i umiem pracować — rzekł w końcu — a moje chwilowe zajęcie w kościele nie potrwa długo. Zastępuję tylko Franciszka!

— Pomogę ci bardzo chętnie, mój chłopcze — odpowiedział Groener, — zabiorę cię jutro do rozmaitych firm i zobaczę co się da zrobić.

— Jutro? Czemu nie dziś? — zapytał Mateusz trochę rozczarowany.

— Dziś chcę się bawić — roześmiał się Groener. — Moja ładna kuzynka pójdzie ze mną na koncert — wiedziałaś już o tem, Nellie?

Nellie siedziała dotychczas milcząca i przygnębiona i raz po raz tylko spoglądała ukradkiem na kuzyna.

— Jesteś bardzo uprzejmy, Adolfie —rzekła — ale ja, nie czuję się dziś dobrze...

— Ach, co tam! Nellie myśli ciągle o tym lekkomyślnym Amerykaninie, który siedzi szczęśliwie w więzieniu — zawołała pani Bannet

— Nie mów pani o tem, proszę — szepnęła Nelli z łzami w oczach.

— Kuzyn twój powinien o wszystkiem wiedzieć! Bóg mi świadkiem, że wypełniam mój obowiązek i że próbowałam być jej matką, panie Groener! Ale skoro młoda dziewczyna zaczyna chodzić do więźniów i do detektywa Coquenila, to...

— Do Coquenila? — powtórzył snycerz zdumiony.

— Nie słyszałeś nigdy o Coquenilu? — wtrącił Mateusz nieśmiało.

Groener spojrzał mu prosto w oczy i odpowiedział swobodnie.

— Nie często bywam w Paryżu, a jeżeli przyjeżdżam, to tylko w interesach i dla zabawienia się. I nie chcę sobie psuć dziś zabawy, o nieprzyjemnych rzeczach nie będziemy dziś rozmawiać! No dalej Nellie! Ubierz się ładnie, weź najmodniejszy kapelusz i za pół godziny wyjedziemy!

Nellie zbladła. Spojrzała na kościelnego, jak gdyby go o pomoc chciała prosić, ale potem ustała, i milcząc, wyszła z pokoju.

— No, panie Bannet — zaczął snycerz po wyjściu Nellie, —teraz musimy się rozmówić—podczas kiedy się Nellie ubierze, o... muszę się dowiedzieć bliższych szczegółów... a więc, — zwrócił się do Mateusza — zobaczymy się jutro panie Mateuszu! Zobaczę, czy mi się nie uda umieścić ciebie w jakim warsztacie!

— Dziękuję — odrzekł Mateusz i wyszedł także.

Za drzwiami czekał na niego Bannet.

— Cicho, — ani słowa, — szepnął Coquenil — dopiero na dole.

Milcząc zeszli obydwaj ze schodów i teraz rzekł detektyw prędko:

— Uważaj pan — nie pytaj o nic, sprawa nagli! Idź pan natychmiast do kościoła, a gdy staniesz przed bramą, zdejm kapelusz i poruszaj nim tak, jak gdyby ci bardzo było gorąco. Potem przyjdzie Tigol. Powiedz mu, aby był gotów i stał w pobliżu kościoła, aż mu dam znak. Rozumiesz pan?

— Ale panie Andrzeju — zaczął stary.

— Nie, nie mam ani chwili do stracenia! Pamiętajcie o waszem przyrzeczeniu!

Zaledwie kościelny odszedł, zbliżyła się Nellie do dedektywa.

— Panie Coquenil! — szepnęła.

— Poznałaś mnie pani? — spytał zaniepokojony.

— Nie, ale przeczuwałam, że to pan jesteś!

— I on wie także o tem?

Źrenice dziewczęcia rozszerzyły się i zwężyły.

— Obawiam się, że... tak! On wie wszystko!

Coquenil położył jej rękę na ramieniu.

— Boisz go się pani?

— Tak! — szepnęła bezdźwięcznie.

— Czy on układa znów jakieś nowe plany?

— Muszę to panu powiedzieć... umieram z strachu, a pan...

— Ja bronić panią będę, na to jestem tutaj! Ale proszę, mów prędko!

— On chce mnie wywieść z Paryża! Słyszałam, jak kazał pani Bannet zapakować moje rzeczy. Ach panie Coquenil, boję się! Jeżeli on mnie z Paryża wywiezie, to ja nigdy tu już nie wrócę!

— Przeszkodzę mu w tem — zawołał detektyw stanowczo, — możesz pani polegać na mojem słowie! Ale musisz wypełnić dokładnie wszystko to, co ci powiem!

— Jak chętnie! — rzekła, patrząc na niego z nieograniczonem zaufaniem.

— Muszę się tylko namyśleć... ale wiem już! Tak będzie najlepiej! Słuchaj pani!

I w krótkich słowach wyjaśnił jej na prędce ułożony plan.

— Zrozumiałaś pani wszystko?

— Jak nadjokładniej, i uczynię tak, jak mi pan karzesz. Ale...

— Cóż?

— Jeżeli on pozna, że pan stoisz mu w drodze... O panie Coquenil, nie przeczuwasz pan wcale, jakim on jest człowiekiem! Nie ma gorszego pewnie na całym świecie! I gdyby on się mścił na panu...

Mówiąc to, drżała Nellie jak w gorączce.

— Nie obawiaj się pani niczego — odrzekł Coquenil spokojnie — ja wiem, z kim mam do czynienia, znam mego przeciwnika! Ale spiesz się pani, każda minuta jest drogą!

Nellie podała mu rękę.

— Dziękuję panu. Wypełnię wszystko, co każesz!

Detektyw wzruszony patrzał za odchodzącą i stanął potem w otwartych drzwiach domu.

— Kto ona jest? — myślał. — Ma ruchy i wzięcie damy najlepszego towarzystwa!

Słońce paliło nielitościwie i teraz, około godziny drugiej, nie było na placu Notredame żadnego prawie ruchu. Raz po raz przeszedł ktoś wolno przez plac, zalany formalnie promieniami światła, albo omnibus przejeżdżał w dali przez most — przed szpitalem zaś stał automobil, otoczony małymi ulicznikami, i w cienu katedry, tuż przy głównem wejściu, siedział samotny żebrak. Coquenil wyjął z kieszeni zegarek, zaczął nakręcać — i w tejże chwili podniósł się żebrak.

— Proszę o jałmużnę — rzekł, zbliżając się do detektywa.

— Słuchajcie! Nowina! Uważajcie na każde moje słowo, ojcze Tigol! — szepnął Coquenil.

— — — — — — — — — — — —

Nellie tymczasem o wiele spokojniejsza i weselsza ubrała się w najładniejszą swoją suknią i udała się do saloniku, gdzie Groener palił cygaro i rozmawiał z panią Bannet.

— No, jesteś! — zawołał, wstając. — Płakałaś, biedaczko? — dodał serdecznie i dotknął ręką białej twarzyczki dziewczęcia. — Czekaj! Pani Bannet — chciałbym pomówić kilka słów z moją kuzynką!

Kościelna skinęła głową i wyszła.

— Siadaj teraz i powiedz mi, czemu jesteś taka smutna, — zaczął, wskazując jej krzesło.

Ale Nellie nie zważała na to. Stanęła przy oknie, jak najdalej od niego.

— Jest to tylko drobnostka, — odpowiedziała, — obawiałam się jednak, że cię to gniewać będzie.

— Więc o cóż ci chodzi?

— Która godzina?

Groener wyciągnął zegarek.

— Za dwadzieścia minut trzecia.

— Nie byłoby ci nieprzyjemnie, gdybyśmy wyszli pięć lub dziesięć minut po trzeciej? Miałam w tych dniach dużo zmartwienia i wczoraj powiedział mi ojciec Anzelm, że mam przyjść do niego dziś, o trzy kwadranse na trzecią!

— Do spowiedzi? Hm — jak długo to trwać będzie?

— Najwyżej dwadzieścia minut!

— I potem będziesz spokojniejszą?

— O tak!

— Dobrze, poczekam! Albo wiesz co, pójdę z tobą do kościoła!

— I będziesz czekał na mnie w kościele?

Groener badawczo spojrzał na nią.

— Tak, — rzekł krótko.

Kilka minut później ukazała się w kościele Nellie, w jasno różowej batystowej sukni i dużym kapeluszu. Snycerz szedł za nią.

— Usiądź tymczasem na mojem krześle przy stoliku, — rzekła Nellie, — krzesło to bardzo jest wygodne.

— O, dla mnie jest każde krzesło dobre, — odpowiedział sucho. — Gdzie jest twój konfesyonał?

— Tam — wskazała i przeszła obok kilku konfesyonałów, na których wisiały tabliczki z nazwiskami spowiedników. Tuż przy zakrystyi znajdował się konfesyonał z napisem: „Ojciec Anzelm."

— Czy ksiądz jest tam już? — zapytał Groener.

— Tak.

Potem, jak gdyby jej coś nagle przyszło na myśl, pochyliła się ku niemu i szepnęła:

— Może chciałbyś obejrzeć skarbiec? Musisz iść za chór — są tam małe schódki....

— Ja się już nudzić nie będę, — przerwał z uśmiechem. — Idź i spiesz się!

Twarz dziewczyny spochmurniała, lecz posłuszna obróciła się natychmiast i znikła w konfesyonale.

Wtedy przysunął sobie Groener krzesło i usiadł z uśmiechem wielkiego zadowolenia. Słyszał wyraźnie przytłumione głosy spowiednika i Nellie — potem tylko spowiednika.........

Trwało to już dziesięć minut. Mateusz chodził tu i tam, ścierał pył z ławek, poprawiał świece.....

I znów upłynęło kilka minut!

Jak długo trwała jednak taka spowiedź!

Ach, nareszcie! Drzwi konfesyonału otworzyły się i wysoka postać księdza ukazała się w nich. Ojciec Anzelm szedł wolno ku zakrystyi.

Teraz i Nellie wyjść musi.

Ale znów minęło kilka minut. Jak długo chce się ona tam jeszcze modlić? Siedziała tam już przecież całe pół godziny, spowiednik odszedł dawno, więc i ona wyjść musi!

(Ciąg dalszy nastąpi.)